

s.6-7

Paweł Kowal: Peter Magyar pokazał, jak należy wygrywać wybory w najbardziej tradycyjnych krajach Unii Europejskiej

Nr ISSN 1898-3081 | Nr indeksu 349-682

9 771898 308059 16

Magazyn Puls

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

Piątek-niedziela, 17–19.04.2026
Nr 31 (2542) • Cena 7,00 zł (w tym 8% VAT)
Informacje z Kraju i ze Świata www.i.pl



FOT. ŁUKASZ CAPAR

s.14-15

Magazyn Puls: Seniorzy zagubieni w cyfrowym świecie

s.4-5

Włodzimierz Czarzasty w specjalnym wywiadzie

s.8

Mateusz Morawiecki ruszył ze swoim stowarzyszeniem. I otworzył sezon na spekulacje o swojej przyszłości

Morawiecki robi ruch

REKLAMA 0011496057



eprasa.pl 2cd4587c73

AUTOPROMOCJA 0210987190

Zamów **prenumeratę**
Polska Metropolia Warszawa **12 312 53 88**
prenumerata@polskapress.pl
prenumerata.polskatimes.pl

W poniedziałek **magazyn**

● Ławnicy będą w sądach odgrywać coraz większą rolę w procesach sądowych ● Samuraje w Lublinie? Niezywkła japońska wystawa



Maciej Sandecki
publicysta

ZIOBRO SAM SIĘ UWIĘZIŁ

Węgrzy po 16 latach pozbyli się autorytarnych rządów Viktora Orbana. Spektakularne zwycięstwo opozycji pod wodzą Petera Magyara opisywane jest szeroko na całym świecie, jako przykład mobilizacji demokratycznych Węgrów, którzy zdołali odsunąć go od władzy.

W Polsce wybory na Węgrzech są komentowane jeszcze w jednym aspekcie - co dalej ze Zbigniewem Ziobro i Marcinem Romanowski, politykami PiS, którzy uzyskali od Orbana azyl polityczny, ścigani przez polski wymiar sprawiedliwości. Od kilku dni media spekulują co zrobią uciekinierzy i pojawiają się najróżniejsze, nawet bardzo dziwaczne hipotezy. Pojawiły się informacje, że Ziobro i Romanowski ucieknąteraz do USA pod skrzydła Donalda Trumpa, inni plotkują, że wybiorą raczej kierunek wschodni - Rosję albo Białoruś, czytałem także, że mogą udać się do Ameryki Południowej np. do Argentyny bo Orban przyjaźni się z tamtejszym prezydentem Javierem Milei. W polskich mediach rozważana jest także możliwość ich pozostania na stałe na Węgrzech, gdy rzutem na taśmę odchodząca administracja Orbana przyznała im węgierskie obywatelstwo. Plotek i hipotez w przestrzeni medialnej pojawiło się całkiem sporo.

Nie znalazłem jednak wypowiedzi, które brałyby pod uwagę najbardziej rozsądne rozwiązanie - powrotu obu panów do kraju i stawienia się przed wymiarem sprawiedliwości. Ani jeden, ani drugi nie napisali nawet, że rozważają taką możliwość. Zbigniew Ziobro, decydując się na wyjazd na Węgry, zapewne zakładał, że zyska czas, że Orban nie odda władzy, i przeczeka na Węgrzech do zmiany władzy w Polsce. W praktyce jednak ten ruch coraz bardziej przypomina sytuację, w której sam nałożył na siebie ograniczenia trudne do odwrócenia.

Gdyby wrócił do kraju zapewne szybko trafiłby do aresztu, ale paradoksalnie ta niedogodność dawałaby mu większe pole manewru. Jego adwokaci mogliby zabiegać o jego jak najszybsze zwolnienie np. ze względu na stan zdrowia. Mógłby się kreować na "więźnia politycznego Tuska", a partia pewnie by go w tym wspierała. Tymczasem uciekając z kraju ograniczył sobie sam możliwości, sam siebie uwięził - odizolował od ojczyzny, partii, prawników i zwolenników. Każdy kolejny dzień spędzony poza krajem utrwala obraz polityka, który zamiast stawić czoła sytuacji, wybiera ucieczkę, a to z kolei przekłada się na utratę wiarygodności i wpływów. Nawet prominentni politycy PiS wypowiadali się, że ucieczka Ziobry i Romanowskiego szkodzi partii, a na wielu polskich stadionach pojawiły się wulgarne transparenty uderzające w byłego ministra sprawiedliwości.

Paradoks polega na tym, że próba uniknięcia odpowiedzialności często prowadzi do jej spotęgowania - nie tylko w wymiarze formalnym, ale też w oczach opinii publicznej.

Nie wiem co teraz zrobią Ziobro i Romanowski, ale jestem pewien, że decydując się na dalszą ucieczkę, w jakimkolwiek kierunku, sami sobie ograniczają wolność i poczucie bezpieczeństwa, a nadzieje, że wrócą do kraju po wyborach w Polsce w 2027 też mogą okazać się płonne. Ta ucieczka może ich kosztować więcej niż ewentualne więzienie w kraju.

O PRAWIE DO ZABIJANIA



Janusz Michalczyk
publicysta

Serce kontra rozum, emocje przeciw rozsądkowi. Chyba każdy w pierwszym odruchu uzna strzały w Bystrzycy Kłodzkiej za akt sprawiedliwości, choć przecież po to wymyślono policję, by zwykły obywatel nie musiał sięgać po broń. Wszystko wskazuje na to, że w czekającym nas procesie instruktora strzelectwa wiele zależeć będzie od interpretacji prawa do obrony koniecznej.

Po zmianie ustrojowej, na początku lat 90., głośna była w Polsce sprawa kobiety, która w pobliżu własnej posesji zastrzeliła mężczyznę na słupie energetycznym. O ile dobrze pamiętam, facet chciał ukraść druty, odciął prąd, zgasło światło. Adwokat przekonywał, że kobieta poczuła się zagrożona, wzięła strzelbę, wyszła z domu, zauważyła gościa na słupie i strzeliła do niego, bo uznała, że szykuje się do napadu. Od tego czasu mieliśmy wiele podobnych zdarzeń i za każdym razem sędziowie musieli skrupulatnie odmierzać winę tych, którzy zabili.

Przypomnijcie sobie emocje podczas oglądania filmu „Życzenie śmierci" z Charlesem Bronsonem w roli architekta, który po osobistej tragedii spaceruje nocami i zabija przestępców. Wzbudził tak żywą reakcję u widzów, że nakręcono cztery kolejne, układające się w serię o samorzutnym mścicielu. Nie ma przypadku w tym, że motyw zemsty w układzie „porządny obywatel kontra bandzior" należy do jednych z najbardziej popularnych w kinie czy literaturze. A to dlatego, że łatwo nam utożsamić się z krzywdzonym człowiekiem, niejako wejść w jego skórę, poczuć strach o bliskich i nieodpartą chęć wyrównania rachunków ze złoczyńcą. Jednocześnie rzecz rozpatrywana na chłodno, przedstawiana w przemyślanych dziełach kultury, jawi się jako niejednoznaczna i nieoczywista.

Clint Eastwood w filmie „Gran Torino" pokazał inną reakcję na zło. Grana przez niego postać ma odwagę, by przeciwstawić się gangowi prześladującemu migrantów z Azji. W krytycznej sytuacji przychodzi do prowodyra, markuje sięgnięcie po pistolet, tamten bez namysłu strzela, co kończy się aresztowaniem. Bohater oddaje życie powodowany przyjaźnią i solidarnością. Tak, to fikcja. Piękna i trudna do wyobrażenia w życiu. Potwierdza jednak intuicję, że prawo do zabijania powinno być mocno limitowane.

CICHCEM ROCZNICA



Bolesław Bezeg
publicysta

W tym tygodniu, 14 kwietnia, minęła rocznica Chrztu Polski. 1060, a więc nawet całkiem okrągła, ale kto by tam robił jakieś obchody, skoro świat płonie, Viktor Orban się pakuje, a sędziowie ślubując „wobec Prezydenta" zdalnie, a nawet zaocznie, wprowadzają nas wszystkich na całkiem nowe poziomy ambiwalencji. No bo jeśli oni już takie rzeczy wyczyniają, to znaczy, że to wszystko nie ma żadnego znaczenia.

Dawno, dawno temu, kiedy pracowałem jako kierownik działu ekonomicznego w opolskim oddziale pewnej ogólnopolskiej Gazety, brałem pewnego razu udział w szkoleniu dla takich jak ja w centrali na warszawskim Mokotowie. Obsługa lokalnych dodatków owej Gazety zajmowała się w centrali przemiła Pani Danusia, żona znanego z zamiłowania do jazdy rowerem ministra Pracy i Polityki Społecznej. Gdy przybyliśmy do centrali, Danusia zgromadziła nas w obszernym przedsionku gabinetu redaktora naczelnego, sama zaś wsadziła głowę do gabinetu szefa i powiedziała: „Adasiu, są tu kierownicy gospodarki z oddziałów, chodź się przywitaj i powiedz im jak ważna jest ekonomia w Gazecie". Miała widać posłuch, bo naczelny zaraz do nas wyszedł i powiedział: „Jak ważna jest ekonomia? W ogóle jest nieważna. Rozmawiałem dziś trzy godziny z ministrem Kołodką i doszedłem do wniosku, że skoro nasza gospodarka wytrzymuje takiego ministra, to ekonomia w ogóle nie ma żadnego znaczenia."

Pomijając legendarną wprost wiarygodność autora tego bon motu, to coś w jego logice jest na rzeczy. Jakie te wszystkie prawa i zasady mają znaczenie, skoro mimo tego co wyprawiają nasze elity, ciągle jeszcze żyjemy, dostajemy wynagrodzenia, a niektórzy ponoć nawet całkiem sensowne? Zwłaszcza sensowne wynagrodzenia muszą dostawać członkowie Trybunału Konstytucyjnego, skoro w mediach prześcigają się w deklaracjach, że jak najbardziej są jego legalnymi pracownikami, mimo, że na egzaminie wstępnym na studia prawnicze oblaliby kandydata, gdyby im o czymś takim opowiedział, jak ten numer ze ślubowaniem wobec notariusza. Tak, wiem, że dziś nie ma już egzaminów wstępnych, teraz jest rekrutacja. To może i ślubowania w końcu zniosą, skoro to tylko taka formalność.

Najsmutniejsze jest to, że klamra z rocznicą chrztu Polski też będzie słaba, bo choć było to przełomowym punktem początków naszej państwowości, to dziś ani religia nie jest już w modzie, ani ludzie Kościoła w przywiązaniu do starych zasad ortodoksją nie grzeszą. Co za czasy!

eprasa.pl 2cd4587c73

Z CZEGO JUTRO ...? O KONIECZNOŚCI PRZEZWYCIĘŻENIA USTROJOWEJ TYRANII STATUS QUO PAŃSTW ZABORCZYCH



Andrzej Sadowski
Centrum. im. Adama Smitha

Dlaczego mimo fundamentalnych różnic ustrojowych, działania władzy wobec przedsiębiorców w czasach tzw. sanacji, PRL oraz obecnej Rzeczypospolitej Polskiej wykazują kilka trwałych cech wspólnych? Czy są konsekwencją intoksykacji absolutystyczną oraz biurokratyczną tradycją polityczno-gospodarczą państw okupujących Rzeczypospolitą, czy również i z błędnych poglądów na gospodarkę lub ich po prostu braku?

Proces likwidacji polskiej państwowości zakończył się zbrojnym aktem agresji dokonanej w roku 1795 przez Królestwo Prus, Monarchie Austriacką i Imperium Rosyjskie. Do tego momentu Rzeczpospolita Obojga Narodów jeszcze przed oficjalnym wymazaniem jej z mapy politycznej świata stawała się bezbronna „od wewnątrz" w wyniku stosowania przez państwa ościenne technik intoksykacji i wachlarza środków z zaangażowaniem części warstwy politycznej, które łącznie odegrały kluczową rolę w paraliżowaniu państwa. Zostało one po finalnym przejęciu przenicowane i rekonfigurowane według modeli biurokratycznych, scentralizowanych i policyjnych. Ponad wiekowa „kultura organizacyjna" państw okupacyjnych stała się tak trwałą spuścizną, że przetrwała i w wieku XXI, w którym jest twórczo kontynuowana chociażby poprzez stałą już praktykę tzw. pozłacania dyrektyw - gold-plating, czyli ordynowania pod pretekstem implementacji prawa wspólnotowego większych obciążeń biurokratycznych, niż wymaga tego dyrektywa unijna jak m.in. w przypadku NIS2 dotyczącej cyberbezpieczeństwa.

Potwierdzają obecność tej „kultury" najważniejsze cechy wspólne sanacji, PRL i III Rzeczypospolitej, którymi są silny etatyzm i interwencjonizm państwowy, mające historyczne apogeum po roku 1947 od rozpoczęcia „bitwy o handel", aż do bankructwa ideologicznego i finansowego potwierdzonego w roku 1988 wprowadzeniem tzw. ustawy Wilczka i tym samym urzędowym porzuceniem dotychczasowej „The Road to Serfdom".

Wspólną cech trzech pozstaborowych edycji Polski jest wysoki fiskalizm i skomplikowany system podatkowy. Szczególnie w latach 30 wieku XX podczas rządów wojskowej junty podatki należały do najwyższych w Europie, a budżet opierał się w dużej mierze na monopolach m.in. tytoniowym, solnym czy spirytusowym. W PRL przedsiębiorcy prywatni byli dociążani tzw. domiarami, czyli uznaniowymi i karnymi podatkami. Zaś w III RP przedsiębiorcy muszą zmagać się nie tylko z jednym z najbardziej skomplikowanych systemów podatkowych w państwach OECD, to jeszcze z przymusem stosowania rządowych dysfunkcjonalnych systemów informatycznych nie występujących w innych państwach Unii.

Kolejną wspólną cechą łączącą trzy państwa polskie jest biurokracja i uznaniowość decyzji urzędniczych. Zarówno w czasach rządów sanacyjnej junty wojskowej, jak i w jawnej dyktaturze biurokracji partyjnej PRL, dostęp do surowców, kredytów czy zamówień publicznych zależał od układów z władzą lub lojalności politycznej, a w III RP również do grantów i dotacji. W III RP biurokracja powraca do „ustawień fabrycznych" minionych reżimów dzięki celowo niejasnym przepisom i ich stronniczej interpretacji w sposób jawnie niekorzystny dla przedsiębiorców, ale też i dla obywateli przez jak np. tzw. ulga mieszkaniowa.

Każdy z tych formalnie innych ustrojów uprzywilejowywał kapitał zagraniczny względem rodzimego przedsiębiorcy co miało znamiona apartheidu ekonomicznego à rebours. Już władze Niepodległej bardzo ochoczo przyznawały koncesje i monopole zagranicznym koncernom na eksploatację surowców lub zarządzanie infrastrukturą np. w przemyśle wydobywczym i energetyce. Koncerny zagraniczne mogły liczyć na rządowe gwarancje zysków i stabilność prawno-podatkową, na którą polscy prywatni przedsiębiorcy już nie, a co prawie wiek później odtwarzał tzw. polski ład, którego nazwa jest oksymoronem patriotyzmu gospodarczego nadużywanego przez ówczesny rząd.

Nawet w PRL tzw. firmy polonijne zostały uprzywilejowane i mogły działać na nierównych zasadach w systemie, w którym rodzimy rzemieślnik był nękany inspekcjami typu robotniczo-chłopskiego i „domiarami", nie mogąc legalnie obracać tzw. dewizami i importować maszyny z Zachodu. Kwintesencją apartheidu ekonomicznego à rebours są w III RP Specjalne Strefy Ekonomiczne, w których koncerny otrzymywały wieloletnie zwolnienia z podatków i rządowe dotacje oraz uprzywilejowane traktowanie, podczas gdy w ramach tego samego unitarnego co do konstytucyjnej zasady państwa rządy uskuteczniały dyskryminujące przepisy i praktyki wobec rodzimych przedsiębiorców.

Systemowa nieufność instytucji państwa wobec przedsiębiorcy oraz rodzimego kapitału prywatnego jest jednym z najtrwalszych mianowników łączących lata 1918–2026, mimo wydawałoby się zasadniczych zmian ustrojowych, które w tym okresie miały miejsce. Podejrzliwość ideowo-moralna wobec przedsiębiorcy, który za sanacji był często postrzegany jako „spekulant" lub osoba przedkładająca zysk nad interes narodowy, w PRL sformalizowano nazywając przedsiębiorców „wrogami klasowymi" i „prywaciarzami". Zaś w III RP przedsiębiorca doświadcza rosnącego biurokratycznego paternalizmu, przez który traktowany jest ponownie jako „wyzyskiwacz", o czym świadczy tendencyjna zmiana zakresu władztwa Państwowej Inspekcji Pracy.

Antyprzedsiębiorcza mentalność w ustrojowej praktyce jest konsekwencją nie tylko braku zerwania z dziedzictwem państwa komunistycznego, ale i państw zaborczych.

Nie wystarczy celebrować rocznice odzyskania Niepodległości, bo trzeba wreszcie zmienić postzaborczy system.

Andrzej Sadowski założyciel i prezydent Centrum im. Adama Smitha - pierwszego w Polsce think tanku, działającego od 16 września 1989 r.

MATERIAŁ INFORMACYJNY DRUŻYNA ENERGII 0011508793

9. EDYCJA DRUŻYNY ENERGII WYSTARTOWAŁA. SZKOŁY MOGĄ ZGŁASZAĆ SIĘ DO 30 KWIETNIA

Ruszyła 9. edycja ogólnopolskiego programu Drużyna Energii, realizowanego przez Energę z Grupy ORLEN. Projekt zainaugurowano wydarzeniem w Ergo Arenie, a szkoły podstawowe z całego kraju mogą do 30 kwietnia zgłaszać udział w rywalizacji o sportowe wyposażenie i stroje o łącznej wartości ponad pół miliona złotych.

Za nami oficjalna inauguracja programu, który po raz kolejny pokazuje, że aktywność fizyczna jest skutecznym narzędziem integracji i budowania pozytywnych relacji. Podczas wydarzenia w Ergo Arenie na parkiecie, ramię w ramię z uczniami, stanęli znani polscy sportowcy i trenerzy, m.in. Piotr Gruszka, Izabela Bełcik, Jakub Schenk oraz Michał Danilczuk.

Inauguracja była także otwarciem nowego rozdziału w historii projektu. Ogłoszono wówczas nową kategorię - Energię Tańca, która dołącza do dotychczasowych dyscyplin i podkreśla, że ruch to nie tylko rywalizacja, ale również emocje, ekspresja i różnorodne formy aktywności.

Ogólnopolska rywalizacja, odbywająca się pod honorowym patronatem Ministra Edukacji, skierowana jest do uczniów klas 4-8 szkół podstawowych. Zgłoszenia przyjmowane są do 30 kwietnia za pośrednictwem platformy druzynaenergii.pl.



FOT. GRUPA ENERGA

Uczniowie, nauczyciele i ambasadorzy programu podczas inauguracji 9. edycji Drużyny Energii w Ergo Arenie. Projekt promuje aktywność fizyczną w szkołach podstawowych w całej Polsce. Rejestracja szkół trwa do 30 kwietnia

Nowy, mistrzowski skład

Siłą Drużyny Energii są ludzie - wybitni sportowcy, trenerzy i pasjonaci sportu. W gronie ambasadorów projektu znalazł się m.in. Piotr Gruszka, legenda polskiej siatkówki i mistrz Europy. - Chcemy uczyć dzieci aktywności, ale też pokazywać im, że sportowcy to zwykli ludzie, którzy kiedyś byli na ich miejscu - podkreśla Gruszka.

Rolę Kapitanów Drużyn Słońca, Serca, Wiatru, Ziemi i Wody pełnią kolejno: koszykarz Jakub Schenk, tancerz Michał Danilczuk, szczypiornista Piotr Papaj, rugbystka Hanna Maliszewska oraz Barbara Brotaj - nauczycielka wychowania fizycznego i laureatka 8. edycji programu. Projekt wspierają także doświadczeni trenerzy i pedagodzy.

Drużyna Energii – to coś więcej niż sport

Program ma na celu pokazanie, że sportowi idole nie są jedynie postaciami znanymi z mediów, ale partnerami do wspólnej zabawy i ćwiczeń. Drużyna Energii promuje różnorodność ruchu i zachęca dzieci do aktywności dopasowanej do ich potrzeb i zainteresowań.

- W tym roku Drużyna Energii została odświeżona. Mamy sportowców aktywnych zawodowo, którzy jeszcze niedawno grali na boiskach, a dziś pracują bezpośrednio z uczniami. Nowością jest taniec, który odpowiada na bardzo szeroko rozumiany ruch i emocje - podkreśla Magdalena Marszałkowska, dyrektor Departamentu Marketingu Energi SA. - Chcemy, by towarzyszyła temu radość bycia razem i gry w jednej drużynie.

Taniec wybija się na front

Absolutną nowością 9. edycji jest taniec, którego ambasadorem został Michał Danilczuk. Jego celem jest pokazanie, że aktywność fizyczna nie musi opierać się wyłącznie na rywalizacji, ale może być formą wyrażania siebie i budowania pewności siebie. Taniec rozwija koordynację, rytm i energię, a jednocześnie przełamuje stereotypy dotyczące płci w sporcie.

Dodatkową zachętą do udziału jest rekordowa pula nagród. Energa z Grupy ORLEN przeznaczyła ponad pół miliona złotych na doposażenie szkolnych sal gimnastycznych i stroje sportowe.

Siła drzemie w każdej szkole

Do udziału w programie mogą zgłaszać się nauczyciele wychowania fizycznego lub dyrektorzy szkół podstawowych. Organizatorzy zachęcają również do przesyłania materiałów wideo pokazujących aktywność szkolnej społeczności.

- To moment, w którym można zaprosić uczniów do świetnej przygody pełnej pasji i energii - podkreśla Barbara Brotaj, kapitanka Drużyny Wody i laureatka poprzedniej edycji programu.

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

CZARZASTY: AMERYKA JEST NASZYM PRZYJACIELEM, A PRZYJACIELE MOGĄ MÓWIĆ SOBIE PRAWDĘ WPROST

– Trump w tym wszystkim, co zrobił, a uważam, że zrobił wiele rzeczy nieprzemyślanych i bardzo chaotycznych, zrobił jedną rzecz dobrą: obudził Europę. I słusznie, bo myśleliśmy, że wszystko za nas zrobi Ameryka - mówi marszałek Sejmu Włodzimierz Czarzasty w rozmowie z Marcinem Zasadą i Pawłem Pawlikiem

Odczuwa pan satysfakcję z niedołożenia się do hipotetycznej Nagrody Nobla dla Donalda Trumpa?
Oczywiście, że odczuwam. Dlatego, że ta nagroda po prostu panu prezydentowi Trumpowi się nie należy.

Chociaż może rację ma Marcin Najman, który powiedział, żeby dać mu Nobla dla świętego spokoju.
Obserwując mentalność pana prezydenta Trumpa, można wnioskować, że to mogłoby nie wystarczyć. Jakby dostał Pokojową Nagrodę Nobla, to później chciałby jeszcze Literacką.

Może za wpisy w serwisie „X”?
Bez wątpienia ta aktywność prezydenta Trumpa zasługuje na uwagę. Ale już zupełnie poważnie, nie byłem jedyny w sprawie tego Nobla. Kontaktowałem się z szefową parlamentu niemieckiego, parlamentu francuskiego, bo w ramach Trójkąta Weimarskiego mamy bliskie kontakty i nie było tam dużego entuzjazmu w tej sprawie. Naród amerykański dla Polaków jest ważny, Ameryka jest ważna. Wiem, że to jest największy gwarant bezpieczeństwa, ale rozmawiamy o prezydencie, po którego działaniach trudno zakładać, że ludzie na świecie czują się bezpieczniej, że świat jest bezpieczniejszy. Ukraina, Grenlandia, Wenezuela, Iran, Cieśnina Ormuz, pretensje do partnerów z NATO, krytyka papieża, wsparcie dla Orbana, którego wspiera Putin.

Według Donalda Trumpa NATO to papierowy tygrys.
Sojusze są po to, by pomagać sobie w różnych sytuacjach, ale tak naprawdę nikt się o to nas nie pytał, a Polacy mają trudne doświadczenia, na przykład związane z działaniami w Iraku. Co wydarzyło się w Wenezueli? Porwano prezydenta. To był zły prezydent, ale po co to zostało zrobione? Żeby rozwalić kartele narkotykowe. Czy słyszeliśmy, żeby jakikolwiek został rozwalony? To może po to, żeby położyć rękę na ropie naftowej? To, co w sprawie Nobla powiedziałem, powiedziałem świadomie, a miesiąc później mogę dodać, że pan prezydent Donald Trump dał kilka dodatkowych dowodów, żeby moją tezę uzasadnić.

Jaki to wszystko będzie miało skutek dla Unii Europejskiej?
Już ma bardzo duży skutek, bo Trump w tym wszystkim, co zrobił, a uważam, że zrobił wiele rzeczy nieprzemyślanych i bardzo chaotycznych, zrobił jedną rzecz dobrą: obudził Europę. To znaczy, Europa zadała sobie takie pytanie: co będzie, gdy nie będzie Ameryki? W związku z tym doszła do wniosku, że po pierwsze, Europa musi pomyśleć o własnym wojsku, po drugie, musi się uzbroić, po trzecie, musi rozpatrywać taki wariant, że w momencie, kiedy Rosja na nas napadnie, na państwa europejskie, że będzie sama się bronić.
W związku z tym poszły w górę procenty, jeżeli chodzi o przeznaczenie środków budżetowych na obronę. I słusznie, bo myśleliśmy, że wszystko za nas zrobi Ameryka. Przyszłością Polski jest silne polskie społeczeństwo, silna gospodarka, silna armia oraz Unia Europejska. Silna jako region, region bogaty, region, który ma czego bronić i potrafi się bronić.

Najlepsze miejsce do życia prawdopodobnie znajduje się w Unii Europejskiej dzisiaj.
Do tej pory najbezpieczniejsze, najbogatsze i najbardziej zasobne. I różnorakie, ale bogate swoją różnorodnością.

Na tym też polega trochę pułapka Unii Europejskiej, bo wszędzie tam, gdzie te nożyce nierówności są najbardziej rozwarte, bardziej opłaca się prowadzić wydobycie, sprowadzać przemysł, jeżeli mniej ludzi partycypuje w zyskach. Na tym polega sukces też Chin w pewnym sensie. Na tym polega potencjał Indii.

Niesprawiedliwość jest wszędzie, co jako polityk lewicy widzę wyraźnie. Natomiast zostanę przy prostych prawdach. Jeżeli jest pięć wielkich ośrodków, które rządzą światem, to tym ośrodkiem jest na pewno bardziej Unia Europejska, a nie każdy kraj oddzielnie. Podobnie, jeżeli chodzi o bezpieczeństwo. Stąd zresztą ci, którym nie zależy na tym, żeby Unia Europejska była silna, wykonują takie ruchy, jak na przykład wizyta wiceprezydenta Stanów Zjednoczonych w Budapeszcie tuż przed wyborami.

Za te krytyczne oceny Donalda Trumpa ma pan na pieńku z ambasadorem USA w Polsce. Tom Rose na platformie „X” napisał o panu: „Ten człowiek jest zagrożeniem. Celem jego zapalczywej retoryki obrażającej prezydenta Stanów Zjednoczonych może być jedynie zaszkodzenie stosunkom amerykańsko-polskim i osłabienie własnego kraju. Być może jako notoryczny aparatczyk skrajnej lewicy i były komunista, nie powinniśmy być zaskoczeni”.
Pan ambasador wyraził swoje zdanie, a ja pozostawiam je bez komentarza. Ameryka jest naszym przyjacielem, a przyjaciele mogą mówić sobie prawdę wprost.

Jak ocenia pan wynik wyborów na Węgrzech?
Bardzo się z nich cieszę. Jako Marszałek Sejmu natychmiast wydałem oficjalny komunikat w tej sprawie. Pogratulowałam zwycięzcom, oferując pomoc polskiego Sejmu w wychodzeniu z autorytaryzmu. Nie ma czasu do stracenia. Chcę pomóc w pilnej odbudowie Grupy Wyszehradzkiej, formatu, który bardzo wzmacnia głos regionu, w tym Polski, w UE. Poza współpracą rządową ważna jest współpraca parlamentów. Jesteśmy w trakcie organizowania wizyty na Słowacji w tej sprawie. Jak tylko ukonstytuuje się węgierski parlament, zaczniemy działania na tym kierunku. Węgry, nawet rządzone przez prawicę, ale Węgry europejskie i demokratyczne, to rzecz dla Polski bardzo ważna.

Peter Magyar, lider zwycięskiej TISZY i prawdopodobnie przyszły premier Węgier, jednoznacznie stwierdził, że nie zamierza utrzymać azylu politycznego dla Zbigniewa Ziobro oraz Marcina Romanowskiego. Myśli pan, że poszukają azylu w Rosji, Białorusi?
Chyba już tylko tam jeszcze ich chcą. Na pewno mają wobec nich dług wdzięczności za niszczenie polskiej demokracji. Myślę jednak, że wrócą do Polski, a tu czeka na nich prokurator, niezawisły sąd, a na pana Ziobro – już niebawem – Trybunał Stanu. Gdyby mieli odwagę i honor, o co absolutnie ich nie podejrzewam, już dawno byliby w Polsce.

Wracając jeszcze do miejsc dobrych do życia. Czy pokochał pan już Sosnowiec?
Moja ojcowizna to mała wieś pod Przasnyszem. Mam tam serce. I tyle. Nigdy w Zagłębiu nie mówiłem, że jestem stąd. Moja decyzja o starcie z tego miejsca wynikała z tego, że sześć lat temu było dwóch liderów dwóch partii, którzy musieli się rozsądnie dogadać. Adrian Zandberg został w Warszawie. Były dwa ośrodki, które są historycznie związane z Lewicą w Polsce, które uzasadniały obecność drugiego lidera lewicowego. To było Zagłębie i Włocławek. Wybrałem Zagłębie. Dlatego, że po pierwsze, mam tu wielu przyjaciół. Po drugie, ten ośrodek jest dobrze zorganizowany, jeżeli chodzi o polityków lewicowych, są tu wspaniali politycy, z którymi można robić dobre rzeczy dla ludzi, dla regionu. Jest związany z Lewicą Marcin Bazylak, czyli prezydent Dąbrowy Górniczej, jest Łukasz Komoniewski, czyli prezydent Będzin, jest Michał Wcisło, wiceprezydent w Sosnowcu. Poza tym ja naprawdę lubię to miasto. Mieszkają tu fajni ludzie.

Siedem czy sześć lat temu, mogę się przyznać, że prawie uwierzyłem, jak pan mówił, że jak Czarzasty nie załatwi, to nikt nie załatwi. Albo umrze, próbując.
Przez pierwsze cztery lata w Sejmie nie załatwiłem niczego, będąc w opozycji.

Nie byłem zawiedziony, że pan niczego nie załatwił. Byłem zawiedziony, że pan tymi obiecanymi kajdankami do kaloryfera się nie przykuł, bo ja bym pana trzymał za rękę.
Człowiek całe życie się uczy. Byłem wtedy posłem pierwszy raz i zobaczyłem, że jak się jest w opozycji, to można się po prostu odbić od każdego kaloryfera. Ale nauczyłem się dróg, po których teraz chodzę. I muszę powiedzieć, że w tej chwili, po dwóch latach funkcjonowania tej koalicji, walczę. Po pierwsze, walczę razem z prezydentami, nie sam. Walczę razem z prezydentem Sosnowca, Będzina, Dąbrowy Górniczej. Nie mam kontaktu z prezydentem Jaworzna, uczciwie mówię. W ciągu tych dwóch lat udało się razem z prezydentami, zaznaczam, bo tu muszę wykazać i skromność i rozsądek w tej sprawie, ściągnąć dla regionu 2 miliardy złotych.

Dużo pieniędzy.
Budowa węzła Klimontów oraz rozbudowa drogi ekspresowej, dwa tory kolejowe między Dąbrową Górniczą a Będzinem. Przywożę tutaj co pewien czas właściwego ministra bądź wiceministra, który się spotyka z ludźmi. Lobbuje na rzecz Zagłębia i jestem z tego bardzo zadowolony. W ciągu ostatnich dwóch lat przyniosło to Zagłębiu 327 milionów złotych na budowę i remonty mieszkań, których w tej chwili jest 1375. Mieszkania są ważne. Dalej, jeżeli chodzi o środki dotyczące infrastruktury. Modernizacja siedziby policji w Będzinie i w Sosnowcu oraz budowa nowej siedziby Komendy Powiatowej Państwowej Straży Pożarnej w Będzinie. Łącznie 40 milionów złotych. Zamek w Będzinie - w tej chwili 700 tys. przekazane. Teatr Zagłębia w Sosnowcu - 4 miliony złotych. Ponad milion na rozwój klubów sportowych. Rozmawialiśmy na temat zmiany formuły Akademii WSB w Dąbrowie Górniczej. Lobbujemy w sprawach związanych z Centrum Zdrowia Psychicznego w Dąbrowie Górniczej oraz rozbudowę i powstanie nowoczesnego SOR-u w Sosnowcu. Cztery lata temu, to powiem szczerze, nie wiedziałem w ogóle, że są takie potrzeby. Nauczyłem się kilku rzeczy. Po pierwsze: współpraca z samorządowcami na miejscu. Po drugie: skuteczność. Dziś nie mam się czego wstydzić, wobec Zagłębia. A to dopiero połowa kadencji.

eprasa.pl 2cd4587c73



FOT. KARINA TROJOK

Włodzimierz Czarzasty: Chcę pomóc w pilnej odbudowie Grupy Wyszehradzkiej, formatu, który bardzo wzmacnia głos regionu, w tym Polski, w UE

Prezydentowi Będzina przyda się trochę dobrych informacji.
Wiem, do czego pan nawiązuje – do referendum. Jest taka moda w tej chwili w Polsce na odwoływanie prezydentów. W jednych miejscach uzasadniona, w drugich nieuzasadniona.

Moda, która wzięła się skąd właściwie?
Z polityki tak jak wszystko. Cała ta fala, która się wiąże z odwoływaniem prezydentów w tej chwili ma na celu głównie to, żeby wybór potencjalnie nowego prezydenta był albo pod koniec tego roku, albo na początku następnego roku. Dlaczego? Bo to jest rok wyborczy. Trzeba patrzeć na to jak na całe życie, z dystansem.

Chorzów, Bytom, Częstochowa, Będzin. W Zabrzu w referendum odwołano prezydenta.
Kraków. W Będzinie zbierane są podpisy. Natomiast uważam, że praca, którą wykonuje prezydent Łukasz Komoniewski, zostanie doceniona i nawet jeśli dojdzie do referendum, to nie zostanie odwołany. Ja mam luzik w tej sprawie.

Dwukadencyjność w samorządach. Pańskim zdaniem zostanie zniesiona?
Moim zdaniem nie zostanie zniesiona. Powiem, dlaczego. W Sejmie jest przygotowany projekt w komisji, z tej komisji nie wychodzi. Nie wychodzi, z jakichś względów. Nawet jeśli wyjdzie i załóżmy, że Sejm przyjmie to, że zostanie zlikwidowana dwukadencyjność, to musi to podpisać prezydent Karol Nawrocki. PiS dwukadencyjność wprowadził. Więc?

Weto. Chyba że głos prezydenta Stalowej Woli czy Chełma ma znaczenie w PiS.
Wątpię, żeby zdanie prezydenta Chełma, szanując wszystkich prezydentów, liczyło się w skali partii. Niezależnie jednak, czy wyjdzie ustawa z Sejmu, to PiS nie jest za tym, żeby to wprowadzić, w związku z tym prezydent Nawrocki nie przyjmie tego.

Czy w związku z tym w wyborach parlamentarnych, które są wcześniej niż samorządowe, czeka nas desant prezydentów, którzy wiedząc, że to koniec kariery w samorządzie, wystartują do Sejmu i Senatu?
Nie wiem, czy desant, ale na pewno będzie dużo samorządowców, którzy będą chcieli startować do Sejmu lub Senatu. Moim zdaniem to tylko dobrze wpłynie na parlament, bo mówimy o ludziach, którzy świetnie znają się na zarządzaniu, samorządności, więc jeżeli wywalczą mandat, to dla demokracji i dla stanu państwa tylko lepiej.

Pod górę lewica ma też w Częstochowie. Prezydent Krzysztof Matyjaszczyk jest jednym z podejrzanych w szerokim śledztwie prowadzonym przez Prokuraturę Krajową, dotyczącym korupcji w mieście.
W Częstochowie wiele się dzieje tej chwili. Jeżeli chodzi o pana prezydenta Krzysztofa Matyjaszczyka, z tego, co wiem, to nie może decyzją sądu pełnić tej funkcji. Pełniącym obowiązki jest pan prezydent Zdzisław Wolski, pierwszy wiceprezydent, bardzo dobry parlamentarzysta, miałem okazję z nim cztery lata współpracować.

To jest wasza ucieczka do przodu z Wolskim w Częstochowie?
Nie, nie myślimy o tym w ten sposób, że to jest ucieczka do przodu. Na pewno nie jestem zadowolony z tej sytuacji, która tam ma miejsce, dlatego że prezydent Matyjaszczyk, którego znam, po prostu ma postawione zarzuty. Żaden poważny polityk nie będzie się z tego cieszył. Raczej będzie się tym martwił. To jest jedna sprawa. Druga sprawa, te zarzuty są w moim zdaniem mocno naciągane, ale są. Nie dyskutuję, stąd szybkie i twarde decyzje.

Jak wyobraża sobie pan listę wyborczą lewicy w nadchodzących wyborach?
Moje marzenia, tak? Mocna lista Lewicy wystawiona wspólnie przez Unię Pracy, PPS, Nową Lewicę, Partię Razem, stowarzyszenie pani Senyszyn, czyli konsolidacja. Jestem takim politykiem, który doświadczył tego, że jego partia przeżyła śmierć polityczną. Cztery lata byliśmy poza Sejmem, mieliśmy 2 procent poparcia. Ale to też jedyna formacja, która wypadła i wróciła.

Potem był ten moment wielkiego zjednoczenia.
Potem było 14 proc. Za dwa lata mamy wybory i jeżeli chodzi o mnie, będę wszystko robił, żeby powstała wspólna lista. Stąd jestem bardzo zdystansowany co do oceny moich przyjaciół z partii Razem. Nie wypowiadam się w sprawie pani Senyszyn. Chcę zostawić otwarte drzwi do momentu, kiedy będziemy rozmawiali o potencjalnym wspólnym starcie. Ja wiem, że w tej chwili jest tak, że jedni mówią nie, drudzy mówią tak. Ale sześć lat temu też nie było takiej możliwości. Pamiętam jak na 1 maja pani Marcelina Zawisza, w tej chwili moja bliska znajoma, nie podała mi ręki. Nie było takiej możliwości, żeby partia Razem wystartowała z SLD. Skończyło się tak, że startowaliśmy z listy Sojuszu Lewicy Demokratycznej. I dogadaliśmy się. Myślę, że Miller zrobił kiedyś błąd, że kłócił się z Palikotem przez trzy i pół roku, po czym na cztery miesiące przed wyborami się dogadali. A ponieważ się opluwali przez tyle czasu, nikt w to nie uwierzył. Więc ja nikogo nie opluwam i mówię: jestem gotowy. Na razie drogi nam się rozeszły. Z Razem nas różni jedna rzecz. My uważamy, że w tym rządzie lewica realizuje bardzo wiele swoich postulatów, a Adrian uważa, że ten rząd, jeżeli chodzi o postulaty lewicy, jest nieskuteczny. Pewne jest, że silna lewica to gwarancja demokratycznych rządów. A im będzie silniejsza, tym więcej naszych postulatów będzie w stanie realizować.

Razem nigdy nie próbowało wziąć tego na siebie.
Po to się jest w polityce, żeby brać władzę, wprowadzać swój program i brać odpowiedzialność za swoje czyny. Razem ma inne w tej sprawie myślenie. Nie krytykuję go. Mamy różne oceny. Czy będziemy mieli różne zdanie za półtora roku? Zobaczymy.

Z takimi osobami jak Marek Balt, który współpracuje z Joanną Senyszyn, też?
Absolutnie cenię Joannę Senyszyn. Bardzo ją cenię za jej poglądy. Głównie w dwóch sferach. Po pierwsze, jeżeli chodzi o państwo świeckie. Robi to z przekonaniem, wierzy w to i robi to całe życie. A po drugie, jeżeli chodzi o sferę praw wolnościowych dla kobiet, w tym prawa do aborcji, jest w tym niesłychanie konsekwentna. Współpracowałem z nią kawał czasu. Ona nie ma łatwego charakteru i ja nie mam łatwego charakteru. Ale nie widzę problemu, byśmy współpracowali i realizowali lewicowe cele.

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

PAWEŁ KOWAL: TRZEBA PÓJŚĆ DROGĄ RUTTEGO I MAGYARA

– Magyar wygrał wybory dlatego, że umiał rozmawiać ze swoimi ludźmi, że nie wymuszał nadmiernie szybkiej zmiany, że akceptował codzienne przyzwyczajenia Węgrów, ich tradycje. Magyar połączył to z demokracją i z szacunkiem dla wspólnoty europejskiej. Droga Magyara, tak jak droga Ruttego w Holandii, to są drogi, którymi trzeba podążać, jeżeli chce się wygrywać w bardziej tradycyjnych krajach Unii Europejskiej – mówi Paweł Kowal, polityk Koalicji Obywatelskiej, historyk i publicysta, szef sejmowej Komisji Spraw Zagranicznych

Dorota Kowalska

Ostatnia niedziela na Węgrzech nie przypominała Panu trochę 15 października 2023 roku?
Było to samo, tylko jeszcze bardziej. Frekwencja minimalnie wyższa: u nas 75, tam 78 procent. Atmosfera była podobna dlatego, że na końcu zwycięża lud, a politycy, którym wydaje się, że przechytrzą swoich obywateli, przekupią ich, zrobią w konia, kończą z kwaśną miną jako Viktor Orbán.

Co się stało, że po szesnastu latach Węgrzy nagle się przebudzili?
Wszystko naraz: kryzys gospodarczy, poczucie oszustwa, oligarchia, próba zawłaszczenia państwa przez małą grupę polityków i biznesmenów. To wszystko zaważyło. Ale decydująca była chęć sprzedania Węgrów Rosji przez ich własny rząd. Największą tajemnicą ostatnich szesnastu lat na Węgrzech jest to, co się stało z Orbánem, który zaczynał jako polityk liberalny, potem liberalno-konserwatywny, antyimperialny, antysowiecki, a skończył jako ten, który „uprzejmie donosi" Kremlowi.

No właśnie, co się z nim stało?
Myślę, że będą to przez lata analizować politolodzy, a inni będą po prostu przekonani, że Putinowi udało się Orbána uwikłać w uzależnienie energetyczne, a wskutek tego polityczne.

Myśli Pan, że poparcie Donalda Trumpa, wizyta J. D. Vance'a w Budapeszcie to był, jak mówią niektórzy, pocałunek śmierci dla Orbána?
Poparcie od MAGA mogło mu zaszkodzić, bo ludzie nie lubią nachalnego poparcia z zewnątrz. Ale podstawowy problem zgotował sobie sam Orbán.

Tak jawne poparcie polityków PiS-u dla Orbána, wizyta prezydenta Nawrockiego u lidera Fideszu właśnie w czasie trwania kampanii wyborczej to był błąd tych polityków?
To dziadowska strategia, PiS zainwestował w złą, antypolską politykę i to jeszcze taką, która przegrała. Prezydent powinien przepędzić na cztery wiatry doradców, którzy go wysłali do Budapesztu. Polski prezydent nie ma prawa ryzykować interesu narodowego dla polityków, którzy się wysługują Rosji. Zresztą dzisiaj widać, że ludzie w Pałacu Prezydenckim dobrze zdawali sobie z tego sprawę, można to wnioskować po wpisach w internecie. Z wpisów ministra Cenckiewicza wynika, że wiedział, iż pisowcy popierają na Węgrzech politykę prorosyjskiego. Działania Orbána, szczególnie rewizjonizm w odniesieniu do granic w Europie, stanowił żywotne zagrożenie dla Polski. Prezydent i pisowcy nie powinni byli tego robić tylko dla interesu partyjnego. To jest wielki grzech, który zostanie im zapamiętany. A do tego jeszcze związali się z politycznym przegranym, jakim jest dzisiaj Orbán. Jak to się mówi: kopiejki nie zarobili, a twarz stracili.

Pytanie, co teraz z panem Ziobrą i z panem Romanowskim...
To oczywiste, że byli minister i wiceminister sprawiedliwości powinni po prostu oddać się w ręce wymiaru sprawiedliwości w Polsce, którym, przypominam, kierowali przez osiem lat.

To były ważne wybory nie tylko dla Węgrów, ale także dla Unii Europejskiej. Unia będzie teraz bardziej zwarta, będzie częściej mówiła jednym głosem?
To były jedyne takie wybory w historii Węgier, one były ważne dla Unii Europejskiej, dla wielu osób w Stanach Zjednoczonych, dla wielu w Polsce także. Dlatego że ich istotą była odpowiedź na pytanie, czy można w demokratyczny sposób w bardzo niedemokratycznych warunkach – bo powiedzmy sobie szczerze, te warunki nie były już teraz demokratyczne – wygrać wybory przez mobilizację narodu. I to się okazało możliwe. Ale Węgry mają tradycję rewolucji i zrywu – ostatnie wybory przypominały mi Wiosnę Ludów z połowy XIX wieku oraz Węgry sprzed siedemdziesięciu lat. Może to największy w tym roku prezent historii, że okrągłą rocznicę 1956 roku będziemy świętować tak jak wtedy – wolni Polacy z wolnymi Węgrami.

Co te wybory znaczą dla Unii Europejskiej?
Znaczą, że wartości i demokracja ciągle rządzą umysłami ludzi. Wymaga to tylko uczciwości polityków i wymaga synergii. Ta synergia musi występować między politykami o poglądach od konserwatywnych aż po lewicowe, tak żeby mieć pewność, iż demokraci się łączą.

Mówiło się o tym, że w Europie coraz większe znaczenie mają partie populistyczne, mocno prawicowe, mocno konserwatywne. Przed nami wybory w kolejnych państwach Unii Europejskiej. Myśli Pan, że wybory na Węgrzech mogą zmienić nastroje w Europie?
Po pierwsze – nie sądzę, żeby populiści byli konserwatystami. Najczęściej nie są konserwatystami, tylko posługują się kilkoma hasłami, które kojarzą się z konserwatyzmem, a w istocie dążą do przejęcia państwa. Populiści ogłaszają walkę z elitami, udają, że reprezentują lud – są rewolucjonistami, a nie konserwatystami. Dodatkowo są rewolucjonistami fałszywymi. Często populiści są gotowi, jeżeli im to pasuje, atakować Kościół, papieża, wartości tradycyjne. Dzisiejszy populizm to po prostu trend, który jest związany z dostępem do mediów społecznościowych, z możliwością manipulowania społeczeństwami. To minie, trzeba to przetrwać. A jak to przetrwać, pokazują Polacy, pokazują Węgrzy. Zjednoczyć się wokół najważniejszych wartości i dawać odpór populistycznym hasłom.

Dobrze, ale co ta zmiana władzy na Węgrzech znaczy dla Unii Europejskiej? Wiadomo, że Orbán blokował wiele decyzji unijnych. To się teraz zmieni?
Węgry muszą mieć jakiś czas na dostosowanie się do nowych warunków. Od Petera Magyara nie można oczekiwać, że zmieni wszystko w ciągu jednego tygodnia. Przeciwnie, Magyarowi trzeba będzie pomóc, żeby mu się udało. Unia powinna wesprzeć Magyara, by wyszedł z koziego rogu uzależnienia energetycznego od Rosji, do jakiego zapędził go Orbán.

Magyar musi to przecież jakoś załatwić. I jak załatwi?
Nie wiem, nie jestem Magyarem. Natomiast wiem, że musi mieć na to czas i że Zachód musi rozumieć znaczenie tej sprawy i konieczność dania nowemu rządowi na Węgrzech spokojnego czasu na zmiany.

Mówi się, że Magyar jest konserwatystą, wywodzi się z partii Orbána. Niektórzy boją się, że być może wejdzie w jego buty.
Pani rozmawia z dość konserwatywnym politykiem, nie ma niczego złego w konserwatyzmie. Konserwatyzm najczęściej jest demokratyczny. Prawdziwy konserwatyzm jest otwarty na pluralizm, jest gotowy na to, żeby akceptować inność. Trzeba się raczej bać rewolucjonistów, nie konserwatystów. Konserwatyści nikomu nie zagrażają. Problem naszych czasów polega na tym, że część populistów i rewolucjonistów udaje konserwatystów. A cała sztuka polega na tym, żeby się na to nie nabierać.

Dobrze, ale nie boi się Pan, że Magyar wejdzie w buty Orbána?
Magyar, żeby wygrać wybory, musiał uwzględnić wrażliwość węgierską. Jestem historykiem, rozumiem historyczny kontekst Węgier. Wątek nacjonalistyczny jest bardzo ważny w tradycji węgierskiej. Magyar wygrał wybory dlatego, że umiał rozmawiać ze swoimi ludźmi, że nie wymuszał nadmiernie szybkiej zmiany, że akceptował codzienne przyzwyczajenia Węgrów, ich tradycje. Magyar połączył to z demokracją i szacunkiem dla wspólnoty europejskiej. Droga Magyara, tak jak droga Ruttego w Holandii, to są drogi, którymi trzeba podążać, jeżeli chce się wygrywać w bardziej tradycyjnych krajach Unii Europejskiej. Dzisiaj poważni politycy poszukują tego połączenia tradycji z proeuropejskim, nowoczesnym podejściem. Także nasz premier jest w tym nurcie.

Do tego wrócę, ale wiadomo, że Węgrzy nie są tak entuzjastycznie nastawieni na przykład do Ukraińców i do Ukrainy.
Bo nie wszyscy odczuwają zagrożenie rosyjskie w taki sam sposób, jak Polacy. Musimy jako Polacy być gotowi na to, żeby to tłumaczyć innym, zaakceptować różnice między poszczególnymi krajami, społeczeństwami Unii. Jako Polak doskonale rozumiem strategiczne znaczenie obrony Ukrainy przed atakiem Rosji, bo wiemy, jaki to ma wpływ na Polskę. Przykładowo w poniedziałek w Sejmie zrobiliśmy duże spotkanie, z najwybitniejszymi ekspertami przygotowujemy się do wyliczenia strat państw trzecich spowodowanych przez Putina, czyli na przykład strat Polski. Będziemy mieć model tworzenia „rachunku dla Putina" za straty państw, które szanują prawo międzynarodowe, a ich społeczeństwa tracą na działaniach Kremla. My to bardzo dobrze rozumiemy, my to czujemy każdą częścią swojego ciała. Ale żeby skutecznie działać na rzecz pociągnięcia Rosji do odpowiedzialności, trzeba też rozumieć, że nie wszyscy uważają dokładnie tak jak my. Problem w relacji Orbána do Rosji nie polegał na tym, że Orbán miał do niej nieco inne podejście niż na przykład Polska czy Litwa, ale polegał na tym, że się zaczął wysługiwać Putinowi, a jego ministrowie wynosili na zamówienie Ławrowa sprawy z zamkniętych zachodnich gremiów.

Mówi Pan, że trzeba pójść drogą Magyara i drogą Ruttego. Co koalicja rządząca musi zrobić, żeby wygrać wybory za niecałe półtora roku?
W czasach strachu, gdy najważniejsze dla ludzi jest bezpieczeństwo, trzeba gęsto tkać wątki tożsamości i nowoczesności. Bez tego nie wygrywa się w naszych stronach i w wielu państwach Unii Europejskiej, na Zachodzie Unii też. I żeby zrozumieć istotę zwycięstwa demokratów tam, gdzie jest najtrudniej, trzeba dużo nauczyć się od Ruttego, gdy był premierem Holandii, a jeszcze więcej od Magyara.

To znaczy?
To znaczy nie można bać się tradycji, trzeba mieć szacunek dla tego, jak ludzie żyją,

eprasa.pl 2cd4587c73



FOT. ATTILA KISBENEDEK/AFP/EAST NEWS

Paweł Kowal: Od Petera Magyara nie można oczekiwać, że zmieni wszystko w ciągu jednego tygodni

a jednocześnie pokazać, że cała tradycja i historia może się dobrze komponować z nowoczesnością i z postępem, ale przede wszystkim z byciem w Unii Europejskiej. Bycie w Unii nie jest wartością lewicową. Unia i jedność europejska wyszły przecież z chadecji, z prawicy. Pomysły wspólnej armii europejskiej to idee Churchilla. Mówię o tych sprawach często na Podkarpaciu, bo zdecydowałem się wystartować na szefa Koalicji Obywatelskiej w najtrudniejszym dla nas regionie Polski. Mówię tam wyborcom: nie jest żadną przeszkodą, żebyśmy byli jak Lombardia, jak Teksas, żebyśmy byli jak Bawaria, jak Tyrol. Można bez końca mnożyć przykłady zachodniego stylu połączenia tradycji z nowoczesnością. To była droga Magyara. To jest też właściwa droga do postępowania w Polsce, a już na pewno na wschodzie kraju.

Co jeszcze trzeba zrobić oprócz tego?
Być blisko ludzi i mieć dla nich czas. Istota nie w tym, by załatwić każdy ludzki postulat i nawet widzimisię. Ludzie wiedzą, że nie wszystko się da od razu. Istota to szacunek, obecność i zrozumienie.

A nie martwi Pana rosnące poparcie dla Konfederacji Brauna, Konfederacji Bosaka i Mentzena? I skąd ono się bierze, Pana zdaniem?
Polityka kocha optymizm i pewność siebie. Nienawidzi martwienia się i pesymizmu. Każdy zmartwiony przegra. Każdy radosny optymista, jeśli to nie jest infantylny optymizm, wygra. I to jest też nauka płynąca z polityki Magyara. Ja się nie zamartwiam, politycznie pracuję na Podkarpaciu, gdzie mamy, jak to mówi premier Tusk, trzy Konfederacje, bo mamy pisowców w skrajnej wersji, mamy konfederatów, mamy braunistów i my tam zrobimy bardzo dobry wynik. Liczę na to, że przejmiemy sejmik.

Nie mówię, że Pan się nie zamartwia. Pytam, skąd się bierze poparcie dla Konfederacji?
Z tego, że demokraci popełniali błędy, bo nie tłumaczyli swojej polityki, bo nie byli w stanie znaleźć wspólnego języka z obywatelami. Z tego, że elity zapominały o swojej misji. Poparcie dla skrajności bierze się z różnych historycznych przyczyn, ale też ze strachu ludzi przed wojną, z nadużywania elektronicznych metod komunikacji, czyli z wojny informacyjnej Rosji. Naprawdę dużą rolę odgrywa w tej grze Rosja, jej interesy ukryte pod płaszczykami różnych partii i różnych ludzi, od Brauna po Millera. To wszystko razem składa się na to, że ludzie nabierają wątpliwości, boją się o swoją przyszłość. Naszą rolą nie jest bać się, tylko pokazać ludziom, że droga do bezpieczeństwa łączy się z demokracją i z jednością europejską.

Nie boi się Pan…
Ja się boję tylko Boga i to mi pomaga też w polityce.

Ludzie patrzą na wiele rzeczy przez pryzmat swoich portfeli i swojej kieszeni. Sytuacja na Bliskim Wschodzie jest jaka jest. Nie boi się pan, że inflacja i sytuacja gospodarcza wam jednak zaszkodzą?
W polityce jest tak, że codziennie coś może nam zaszkodzić: własny błąd, katastrofa naturalna. Piękno i przekleństwo polityki polega na tym, że rządzi nią ludzka psychologia, ludzkie ambicje, nastroje, miłość i nienawiść. Wszystko razem trzeba brać pod uwagę. A co dopiero, kiedy żyjemy w czasach przedwojennych. Ktoś powie, że to są czasy przedwojenne, tak mówi pan premier, ja jako historyk powiedziałbym jeszcze odważniej: jeśli nic się nie zmieni, to początek jakiejś wielkiej, trzeciej wojny już przecież widać.

Dlaczego tak Pan myśli?
Dlatego że każda wojna zaczyna się od nieopanowanych konfliktów. Pierwszy był konflikt Rosji przeciwko Ukrainie, teraz jest konflikt na Bliskim Wschodzie, który nie wiadomo, jak się rozwinie. To nie chodzi o to, żeby ludzi straszyć, ale też nie chodzi o to, żeby ich zagłaskiwać. Trzeba mówić, jaki jest stan rzeczy, a stan rzeczy z punktu widzenia naszego bezpieczeństwa jest bardzo trudny. Wielkie wojny zaczynają się od nacjonalizmu, kolonializmu i szybkich zbrojeń. Czyż nie te właśnie zjawiska obserwujemy?

Tylko rządzenie dla koalicji 15 października jest o tyle trudne, że mamy prezydenta, który życia wam nie ułatwia. Wiele kluczowych ustaw wetuje. Jak w takim razie iść do przodu?
Gdyby prezydent był propaństwowy, byłoby na pewno łatwiej – tyle mogę powiedzieć. Trzeba rządzić w oparciu o to, jakie są możliwości, ale przede wszystkim podstawą do rządzenia jest większość w Sejmie. I nie ma co zrażać się blokadami – trzeba po prostu uchwalać ustawy i kłaść je na biurku prezydenta.

Polacy mogą powiedzieć tak: „Tego nie wprowadziliście, tego nie wprowadziliście, tego nie wprowadziliście, a obiecaliście". I jak tu wygrać wybory?
Wygramy wybory i stworzymy rząd w przyszłym roku. Ludzie docenią determinację we wprowadzaniu takich zmian, jak zmiana prawa pracy czy tak zwane babciowe. Myślę, że można na to popatrzeć też tak: mimo oporu prezydenta, my jednak zmiany wprowadzamy. A myślę, że też ludzie zobaczą, iż są przykłady, gdzie weto prezydenta jest kompletnie destrukcyjne, jak na przykład w kontekście kryptowalut. Realnie wiele osób straciło dlatego, że prezydent zawetował regulacje dotyczące kryptowalut.

A może za mało chwalicie się sukcesami? Może trzeba mówić, że jesteśmy dwudziestą gospodarką świata? Mam wrażenie, że do wyborców dociera bardzo dużo negatywnych informacji, za mało pozytywnych. Nie ma Pan takiego wrażenia?
Mam. Mówiąc półżartem, taką samą sytuację mam z rodziną i taką samą wśród znajomych. Jako Polacy mamy wszyscy taki charakter, że wolimy lub lubimy ponarzekać. Ale nawet kiedy słyszę te narzekania, traktuję je raczej jako wyzwanie, żeby mówić o tym, co się udało, i pokazywać też dwie różne perspektywy każdej sprawy. Przecież Donald Tusk stworzył stabilną większość w trudnych czasach, o jakiej może pomarzyć niejeden europejski kraj. Żadna polityka nie jest idealna, nasza też taka nie jest, ale polityka pisowska czy fideszowska to droga ku przepaści.

Jak Pan myśli, co powinniście przez te półtora roku jeszcze zrobić, żeby wygrać wybory?
Robić to, co robimy, tylko bardziej i systematycznie.

Rozwinie Pan tę myśl?
Rozwinął ją premier podczas ostatniego posiedzenia Rady Krajowej KO. Każda polityka zaczyna się we własnej głowie, więc musimy sobie uświadomić stawkę, o jaką gramy. Gramy o to, żeby Polska została w Europie, żeby nikt jej nie próbował z Unii Europejskiej wyprowadzić. Gramy o godność człowieka. Gramy o to, żeby Polska była krajem, gdzie szanse są takie jak w ostatnich trzydziestu latach, jednak równe. Nie trzeba być urodzonym w rodzinie partyjnego oligarchy, żeby mieć szansę na robienie biznesu czy kariery naukowej. Do takiej Polski przywykliśmy. O taką Polskę będziemy walczyć i ludzie to docenią. Byłem ostatnio na zjeździe polskich studentów, którzy studiują za granicą. W Mediolanie zobaczyłem nową Polskę młodych, ambitnych ludzi, którzy pochodzą z biednych i bogatych rodzin – dla nich warto pracować. Oni mają szansę, jeśli pracują i uczą się. To pierwsze takie pokolenie w Polsce od kilku stuleci. Warto dla nich uchronić Polskę od destabilizacji, dać krajowi jeszcze ze dwie dekady porządnego rozwoju. O błędach też trzeba mówić. Błędy są tam, gdzie nie daliśmy rady zrobić czegoś tak szybko, jak byśmy chcieli. Często nie była to zresztą nasza wina. Często była to wina prezydenta Dudy, a teraz Nawrockiego.

Wybory być może wygracie, problem w tym, z kim stworzycie koalicję…
Jeśli utrzymamy pokorę, wybory wygramy i stworzymy większościową koalicję. Z jednej strony na pewno naszym koalicjantem będzie Lewica. Naszym koalicjantem będzie Polskie Stronnictwo Ludowe. Wszyscy się zmobilizują.

Jest Pan optymistą!
Inaczej nie zajmowałbym się polityką.

REKLAMA 0111461412



eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

RUCH MORAWIECKIEGO. CZY PIS GROZI ROZŁAM?

Stało się to, o czym w kuluarach mówiło się od miesięcy: Mateusz Morawiecki zakłada Stowarzyszenie Rozwój Plus. Ponoć chce się do niego zapisać ok. 40 polityków PiS. Pytanie, czy ten krok to decyzja Morawieckiego o odejściu z partii, czy też były premier rzuca jedynie: „Sprawdzam" prezesowi Kaczyńskiemu

Dorota Kowalska

Prawo i Sprawiedliwość nie ma dobrej passy. Mianowanie Przemysława Czarnka kandydatem na przyszłego premiera nie wzbudziło entuzjazmu wśród wyborców, politykom PiS-u przyszło się tłumaczyć ze swojego poparcia udzielonego Viktorowi Orbanowi, który przegrał wybory na Węgrzech, media rozpisują się o dwóch uciekinierach, których przyszły premier Węgier chce deportować ze swojego kraju, mowa tu oczywiście o panach Ziobrze i Romanowskim, a tu jeszcze kolejny news - Mateusz Morawiecki zakłada Stowarzyszenie Rozwój Plus.

- Naszym celem jest tworzenie dodatkowej przestrzeni do dialogu, wymiany doświadczeń oraz inicjowania działań wspierających rozwój społeczny i gospodarczy Polski - przekazał Wirtualnej Polsce Morawiecki.

Do stowarzyszenia chce się zapisać ponoć około czterdziestu polityków PiS, także europarlamentarzystów. Deklarację członkowską złożył także były prezes Orlenu, Daniel Obajtek.

Prezesem zarządu został Mateusz Morawiecki, wiceprezesem - Marcin Horała. Izabela Antos - skarbnikiem, a Paweł Jabłoński - członkiem zarządu. Michał Dworczyk objął funkcję sekretarza. Została powołana także Komisja Rewizyjna, w skład której weszli Piotr Müller i Krzysztof Szczucki.

Pełna nazwa wpisana do dokumentów statutowych brzmi: Stowarzyszenie Rozwój, Gospodarka, Przyszłość. Jej skrócona wersja to Stowarzyszenie Rozwój Plus.

- Jestem jednym z dziewięciu członków założycieli Stowarzyszenia. Deklarację przystąpienia do Stowarzyszenia wyraziło blisko pięćdziesięcioro parlamentarzystów. Czterdziestu posłów na Sejm RP, pozostali to senatorowie i posłowie do Parlamentu Europejskiego. Zostaną oni przyjęci do Stowarzyszenia z chwilą rejestracji naszej organizacji i dokończenia formalności wymaganych przez statut - powiedział WP Michał Dworczyk.

Tuż po pojawieniu się informacji o nowym Stowarzyszeniu Mateusza Morawieckiego w PiS-ie zapanował popłoch.

„Kto chce szukać wrogów na prawicy, kto chce nas dzielić, kto stawia swój interes ponad dobro Polski - ten mojego wsparcia ani aprobaty nie znajdzie. Ten usłyszy, że to zdrada" - skomentował stanowczo Przemysław Czarnek. A potem: „Drodzy Patrioci: to nie czas egoizmu; to nie czas partyjniactwa! To czas pracy, jedności i nieodstawiania nogi! Kto chce szukać wrogów na prawicy, kto chce nas dzielić, kto stawia swój interes ponad dobro Polski – ten mojego wsparcia, ani aprobaty nie znajdzie. Ten usłyszy, że to zdrada. Polityka to nie zabawa. To służba dobru wspólnemu i Rzeczpospolitej. Ja wybieram biało-czerwoną i liczę, że pójdziecie z nami do zwycięstwa!".

Jego wpis poparli posłowie Tobiasz Bocheński i Jacek Sasin. Ten ostatni napisał krótko: „W jedności siła!".

Z kolei Patryk Jaki stwierdził, że „projekt Czarnek działa, a przecież nawet się jeszcze nie zdążył rozkręcić. Są jednak ludzie, którzy chcą, aby się nie powiódł i aby znów partia była zmuszona do rozmawiania o sprawach wewnętrznych, a nie o zewnętrznej ofensywie".

Rafał Bochenek w rozmowie z Polską Agencją Prasową poinformował, że Komitet Polityczny PiS wykazał, że większość władz partii wyraziła zaniepokojenie inicjatywą założenia Stowarzyszenia przez Mateusza Morawieckiego.

- Zwłaszcza teraz, kiedy jedność jest szczególnie potrzebna. Udział w tym przedsięwzięciu nie służy dobru partii - dodał rzecznik Prawa i Sprawiedliwości.

Wcześniej krytycznie do inicjatywy byłego premiera odniósł się Mariusz Błaszczak.

- Stowarzyszenie może być wykorzystane i z całą pewnością będzie wykorzystane jako forma dezintegracji środowiska politycznego, naszego środowiska politycznego Prawa i Sprawiedliwości - stwierdził w rozmowie z Polsat News.



FOT. ADAM JANKKOWSKI

Telefon Mateusza Morawieckiego przed startem jego ruchu rozgrzewał się do czerwoności

Jak ustalił Patryk Michalski, autor programu „News Michalskiego" w TVN24+, podczas wtorkowej narady Jarosław Kaczyński rozmawiał ze swoimi współpracownikami o pomyśle Morawieckiego. Ponoć dyskusja była ostra i burzliwa, a koncepcję Stowarzyszenia poparł wprost wyłącznie Ryszard Terlecki.

- Idea Stowarzyszenia idzie w złym kierunku i nie spotyka się z akceptacją większości w partii - stwierdził jeden z rozmówców Michalskiego.

WIĘKSZOŚĆ WŁADZ PIS WYRAZIŁA ZANIEPOKOJENIE INICJATYWĄ ZAŁOŻENIA STOWARZYSZENIA PRZEZ MATEUSZA MORAWIECKIEGO

Pomysłu Stowarzyszenia nie bronił nawet Piotr Gliński, postrzegany jako jeden z sojuszników Morawieckiego.

- Morawiecki opowiadał, że chce sięgnąć po głosy centrum, że to ma służyć wszystkim i przyciągnąć wyborców, którzy nie zagłosowaliby na PiS. Powtarzał to, co mówi w ostatnim czasie, ale nie przekonał. Wprost padały zarzuty, że Morawiecki gra na rozłam PiS - mówił inny polityk PiS.

Mateusz Morawiecki opuścił spotkanie wcześniej, miał mieć jakieś ważne spotkanie. Już pod jego nieobecność prezes PiS zaprosił do gabinetu na rozmowy w wąskim gronie m.in.: Przemysława Czarnka, Mariusza Błaszczaka, Elżbietę Witek, Jacka Sasina i Zbigniewa Raua. Po naradzie i dyskusji Jarosław Kaczyński ogłosił w tym wąskim gronie, że politycy PiS, którzy zapiszą się do Stowarzyszenia Mateusza Morawieckiego, nie znajdą miejsca na listach wyborczych Prawa i Sprawiedliwości. Ultimatum prezesa Patryk Michalski miał potwierdzić w trzech źródłach.

- O ile wiem, nie było żadnego ultimatum. Premier Mateusz Morawiecki uczestniczył w posiedzeniu Prezydium Komitetu Politycznego i niczego takiego nie usłyszał. Do nas - osób, które przystąpiły do Stowarzyszenia - również taka informacja nie trafiła. Nikt się z nami w tej sprawie nie kontaktował. Mam wrażenie, że to przede wszystkim spekulacje medialne, nieprawdziwe, być może przekazywane przez osoby niechętne naszemu środowisku – powiedział WP Dworczyk. - Nie zrezygnujemy z powołania Stowarzyszenia. A sugestie, by to zrobić, wynikają być może z nadmiarowych obaw niektórych kolegów z partii. Obaw niezrozumiałych. Uważam, że wszyscy powinniśmy skupić się na pracy programowej, a nie na takich dyskusjach - dodał.

Cóż, sytuacja wydaje się dynamiczna. O tym, że Morawiecki może zdecydować się na wyjście z PIS-u, mówiło się od miesięcy. Fakt, że prezes Kaczyński postawił na Przemysława Czarnka jako kandydata na przyszłego premiera, pewnie dało Morawieckiemu do myślenia. Prezes swoją decyzją pokazał na kogo stawia i nie był to ani Morawiecki ani jego ludzie.

Tymczasem media od tygodni rozpisywały się o walce dwóch frakcji w Prawie i Sprawiedliwości. Wszystko wzięło się stąd, że choć PiS wygrał wybory prezydenckie, w każdym razie wygrał je Karol Nawrocki popierany przez PiS, partia traci w sondażach. Politycy PiS dostrzegli więc potrzebę obrania nowego politycznego kursu, tyle że jego poszukiwania zapoczątkowały nowe spory, które są pokłosiem starych. Jeden z nich toczy się między byłym premierem Mateuszem Morawieckim i jego ludźmi, nazywanymi też „harcerzami" a grupą tzw. maślarzy. Na czele tych drugich stoją Przemysław Czarnek, Patryk Jaki, Jacek Sasin i Tobiasz Bocheński.

Określenie wzięło się stąd, że Bocheński uderzał w ekipę rządową za to, że w samolocie LOT-u z Frankfurtu do Polski podano mu masło „Deutsche Markenbutter", a nie polskiego producenta. LOT tłumaczył potem, że linie lotnicze najczęściej zaopatrują się w porcie lotniczym startu.

To ludzie z frakcji Morawieckiego mieli tak nazwać swoich kolegów z partii, sami od lat nazywani są „harcerzami", bo wielu swego czasu działało w harcerstwie.

W każdym razie „maślarze" połączyli siły przy okazji rozmów o nowym programie, który PiS zamierza stworzyć na wybory parlamentarne w 2027 roku, w grupie, która miała nad nim pracować, nie znalazł się Mateusz Morawiecki, znaleźli się za to: Mariusz Błaszczak, Jacek Sasin, Przemysław Czarnek, Tobiasz Bocheński i Patryk Jaki.

W Prawie i Sprawiedliwości doszło do prawdziwej burzy, interweniował Jarosław Kaczyński, tyle że ponoć sam miał zatwierdzić brak obecności Morawieckiego w tym gronie.

Walki z czasem nabrały też bardziej publicznego charakteru.

Jarosław Kaczyńskiego widział co się dzieje, dlatego zorganizował spotkanie kierownictwa na Nowogrodzkiej. Tyle tylko że Mateusz Morawiecki się na nim nie pojawił. Był za to razem z byłą premierką Beatą Szydło i europosłem PiS, byłym prezesem Orlenu Danielem Obajtkiem w Brzozowie w woj. podkarpackim. Spotykał się tam z wyborcami.

- Nie pamiętam, by ktoś tak jawnie zlekceważył słowo prezesa - mówili wtedy cytowani w mediach politycy PiS.

O tym, jak bardzo PiS jest dzisiaj podzielony, niech świadczy fakt, że w partii odbyły się trzy wigilie. Pierwszą zorganizował dla wszystkich prezes Kaczyński. Drugą, dla swoich ludzi, były premier Mateusz Morawiecki. Trzecią - były wicepremier Jacek Sasin i ponoć podczas dzielenia się opłatkiem z najbliższymi współpracownikami nie oszczędzał Morawieckiego.

Decyzja Jarosława Kaczyńskiego o postawieniu na Przemysława Czarnka najwyraźniej przelała czarę goryczy. Pytanie, czy założenie Stowarzyszenia to dla Morawieckiego zapowiedź odejścia z PiS-u, czy też były premier rzuca jedynie: „Sprawdzam" prezesowi Kaczyńskiemu. O tym pewnie dowiemy się w najbliższych tygodniach.

eprasa.pl 2cd4587c73

MATERIAŁ INFORMACYJNY AGENCJA ROZWOJU PRZEMYSŁU S.A.
0011485634

Local content to nie hasło. To walka o miliardy i przyszłość polskich firm

Local content od miesięcy jest jednym z najgorętszych tematów gospodarczych. Rząd kończy prace nad jego definicją, strategiczne inwestycje przyspieszają. Czy to realna szansa dla polskich firm czy tylko modne hasło?

Niewątpliwe te dwa słowa zostaną wybrane na najbardziej popularne sformułowanie w bieżącym roku. Nie sposób zliczyć wypowiedzi i artykułów, w jakich występują w różnych kontekstach. A przecież nie chodzi o to, żeby na tym poprzestać, żeby „local content" był tylko metką „made in Poland", którą sygnujemy kolejne umowy i inwestycje. To przekonanie, że jak największa część z tych kilkuset miliardów złotych, jakie zostaną wydane na strategiczne inwestycje, powinna pozostać w naszym kraju w każdej możliwej postaci – nie tylko jako zapłata za wystawione faktury, wynagrodzenia i podatki, ale przede wszystkim jako wzrost kompetencji polskich firm w oparciu o nowe technologie i doświadczenie. Mówimy bowiem o wielkich projektach inwestycyjnych w transformacji energetycznej (pierwsza polska elektrownia atomowa, morskie farmy wiatrowe, sieci przesyłowe), infrastrukturze (Port Polska, Kolej Dużych Prędkości) czy też obronności. Jestem przekonany, że te inwestycje będą kołem zamachowym dla całej polskiej gospodarki, skorzysta wiele polskich przedsiębiorstw i to nie tylko tych bezpośrednio realizujących te wielkie zamówienia, ale i ich dostawcy oraz poddostawcy dostawców. To system naczyń połączonych - tysiące przedsiębiorstw i setki tysięcy miejsc pracy.

Poziom rozwoju gospodarczego nigdy nie jest efektem choćby największych, ale pojedynczych kontraktów. Kluczowe jest miejsce, jakie zajmą polskie przedsiębiorstwa w łańcuchach dostaw towarów i usług, transferze technologii, tworzeniu wartości dodanej, co w rezultacie pozwoli na szerokie wejście z ofertą również na rynki zagraniczne. Podstawową rolę w tej drodze po nowe kontrakty, kompetencje i specjalizacje powinien odegrać sektor prywatny, szczególnie małe i średnie przedsiębiorstwa.



Krzysztof Telega Wiceprezes Zarządu ARP S.A.

Dobrze, ale co to oznacza w praktyce dla małych i średnich firm? Jak mogą włączyć się w realizację tych strategicznych projektów?

Nie czekać, tylko rozpocząć przygotowania tak, aby być gotowym na pojawiające się projekty. Moim zdaniem, dobrze jest zacząć od rozpoznania swoich kompetencji i podjęcia strategicznej decyzji, w jakich projektach chcę uczestniczyć, w jakich sektorach chcę być aktywny. Powinno to dać przedsiębiorcy obraz, czy aktualnie posiadane umiejętności i doświadczenie są wystarczające do mocniejszego włączenia się w łańcuchy dostaw. Musi uczciwie odpowiedzieć sobie na pytanie, czy dziś jest gotowy wziąć udział w danym przetargu czy potrzebuje się przygotować? W wielu przypadkach będzie to zapewne druga odpowiedź, a to wymaga opracowania koncepcji, inwestycji w ludzi, park maszynowy czy procesy, niezbędny jest też czas i finansowanie. Niezwykle istotną rzeczą jest też dostęp do informacji i budowanie relacji zawodowych w wybranych obszarach aktywności. W większości wcześniej wymienionych projektów inwestorzy i zamawiający prowadzą szeroką akcję informacyjną w postaci spotkań z dostawcami, prezentacji planów zakupowych i branżowych. Dobrym przykładem mogą tu być wszystkie spółki inwestorskie w sektorze morskich farm wiatrowych czy też spółka odpowiedzialna za budowę elektrowni atomowej, które już dziś komunikują, czego i kiedy będą potrzebować.

Podobnie czynią najwięksi ich dostawcy, jak choćby nasza spółka Grupa Przemysłowa Baltic, która już wie, o jakie kontrakty będzie się starać i jakich kooperantów szukać. Organizuje spotkania dla przedstawicieli MŚP i pokazuje konkretne obszary współpracy, co miało miejsce podczas ostatniego kongresu PowerConnect w Gdańsku. Widać więc wyraźnie, że local content przechodzi na kolejne szczeble łańcucha dostaw. O to właśnie w tej całej koncepcji chodzi. Jeden duży kontrakt napędza rozwój całego szeregu firm. Dziś jest ten moment, żeby budować swoją pozycję.

Czy to gra tylko dla największych?

To jeden z największych mitów wokół local content. Oczywiście projekty i towarzyszące im zlecenia są różnej wielkości i wartości. Są takie, które wymagają dużego doświadczenia, posiadania certyfikatów, a także mocnych gwarancji finansowych i są to zadania „szyte" pod większe firmy. Obok tego istnieje jednak ogromny rynek mniejszych zleceń, a przykładów nie trzeba daleko szukać - w marcu został opublikowany kalendarz przetargów na 2026 r. związany z budową elektrowni atomowej. Znajdują się w nim zarówno wysoce specjalistyczne usługi, jak i zadania znacznie mniej złożone, na przykład budowa sieci wodno-kanalizacyjnych. Zatem warto trzymać rękę na pulsie i być przygotowanym.

A jeśli firma jest za mała na udział w przetargu?

Nie traktujmy tego jako barierę, tylko punkt wyjścia. Wiele kontraktów realizowanych będzie nie przez pojedyncze podmioty, ale przez sieci współpracujących przedsiębiorstw. Konsorcja i partnerstwa powinny być standardem, stanowiąc podstawę do zdobywania niezbędnej wiedzy i doświadczenia dla mniejszych firm, które nauczą się współpracować, czyli łączyć kompetencje, dzielić ryzyko i wspólnie startować w przetargach. W praktyce oznacza to, że nawet mniejszy podmiot może wejść do dużego projektu, jeśli będzie współpracował z innymi partnerami, a tym samym zwiększy swoje szanse w przesuwaniu się w górę łańcucha dostaw i z czasem sam może zostać liderem konsorcjum.

Co z firmami, które dopiero muszą zbudować kompetencje?

Jeśli mówimy o sektorach zaawansowanych technologicznie, takich jak na przykład energetyka jądrowa, to wejście do nich wymaga przede wszystkim spełnienia rygorystycznych, międzynarodowych standardów jakości i bezpieczeństwa. Dla wielu firm udźwignięcie kosztów tego dostosowania może być największą barierą, dlatego stworzyliśmy program „Atom bez Barier" – kompleksowy pakiet finansowania dla przedsiębiorstw, które chcą włączyć się w realizację pierwszej polskiej elektrowni jądrowej.

Jednym z kluczowych elementów programu jest pożyczka certyfikacyjna. To rozwiązanie stworzone z myślą o firmach, które muszą sfinansować i zdobyć wymagane certyfikaty, aby startować w przetargach. Do tego dochodzi finansowanie inwestycji (w postaci pożyczek lub leasingu), które są niezbędne dla spełnienia norm jakościowych. Przedsiębiorcy mogą też skorzystać ze zwolnienia z podatku dochodowego do 70% wartości inwestycji, jeśli zrealizują je w ramach Polskiej Strefy Inwestycji. Wszystkie te instrumenty można elastycznie łączyć. To przykład tego, jak w odpowiedzi na potrzeby rynku, konstruujemy nasze pakiety rozwiązań.

Na koniec – kto naprawdę wygra na local content?

Sukces będzie należeć do tych, którzy już dziś podejmą decyzję, gdzie chcą być za kilka lat. Liczyć się będzie praktyka i inicjatywa. To jest przestrzeń, w której polskie przedsiębiorstwa muszą aktywnie zawalczyć o swoje miejsce w łańcuchu dostaw. I właśnie ci, którzy zrobią to pierwsi, mają szansę zbudować przewagę na lata. W Agencji Rozwoju Przemysłu towarzyszymy naszym przedsiębiorcom na tej drodze i zapewniamy elastyczne rozwiązania finansowe, ułatwiające wejście do łańcuchów dostaw w strategicznych sektorach polskiej gospodarki.

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

BRUDY W „CZYSTYM POWIETRZU”. SETKI POKRZYWDZONYCH PRZEZ FIRMĘ Z GOLENIOWA

Setki niezamożnych ludzi w kraju uwierzyło firmie PV Technik z Goleniowa, która w ramach programu „Czyste Powietrze” miała im zrobić termomodernizację domów. Nie zrobiła nic albo mało. A teraz jej klienci – jako beneficjenci umów zawartych z WFOŚiGW – wzywani są do zwrotu prefinansowania. Tyle że pieniądze trafiały na konto firmy...

Małgorzata Oberlan

Śledztwo w tej sprawie wciąż się rozrasta. Początkowo prowadziła je Prokuratura Okręgowa w Szczecinie, bo to z jej rejonu pochodzi spółka PV Technik. Już na wstępnym etapie, we wrześniu ub. roku, śledczy informowali o szokującej skali procederu – pokrzywdzonych wówczas przez spółkę miała być ponad setka, a łączna wartość wyrządzonej szkody opiewać miała na kilkadziesiąt milionów złotych (sic!).

Do przestępstw miało dochodzić od 2022 r. do grudnia 2024 r. Jak informowała we wrześniu rzeczniczka Prokuratury Okręgowej w Szczecinie, firma z woj. zachodniopomorskiego, jako wykonawca, zawierała umowy z beneficjentami programu na prace termomodernizacyjne budynków mieszkalnych oraz wymianę źródeł ciepła. – W sprawie ustalono, że zachowanie sprawcy polegało przede wszystkim na wyłudzaniu środków pieniężnych na szkodę beneficjentów programu, np. poprzez wprowadzenie w błąd co do możliwości faktycznego zrealizowania inwestycji – przekazała.

Dość szybko jednak nadzór nad tą sprawą przejęła Prokuratura Europejska. Dlaczego? Bo program „Czyste Powietrze” realizowany jest z Krajowego Planu Odbudowy oraz programu Fundusze Europejskie na Infrastrukturę, Klimat i Środowisko. Postępowanie o sygnaturze akt 3040-2.Ds.55.2025, dotyczące sprzeniewierzenia środków Unii Europejskiej, trafiło do Biura Delegowanego Prokuratora Europejskiego przy Prokuraturze Regionalnej w Katowicach. Tyle formalności. A co dzieje się w praktyce? Śledczy działają, a setki pokrzywdzonych żyją w strachu. Tak, jak starsi i schorowani rodzice pani Anny z powiatu radziejowskiego w Kujawsko-Pomorskiem. – Boją się, że WFOŚiGW w Toruniu nakaże im zwrot prefinansowania termomodernizacji, której firma PV Technik z Goleniowa u nich w domu nie wykonała. Zaliczkę z funduszu jednak dostała. To ponad 60 tys. zł. Moi rodzice na oczy takich pieniędzy w życiu nie widzieli – mówi pani Anna.



FOT. PEXELS

Klienci firmy PV Technik mieli mieć wymienione stare piece, wykonane termomodernizacje domów. A mają jedynie wielki problem finansowy/zdjęcie ilustracyjne

Na przykładzie tych seniorów można prześledzić mechanizm, który doprowadził do wielu dramatów w kraju. Historię zrelacjonowała nam ich córka, przedstawiając także do wglądu korespondencję urzędową.

Pan Dawid jak anioł

Rodzice pani Anny mieszkający w pow. radziejowskim przyjęli przedstawiciela firmy PV Technik z Goleniowa w swoich skromnych progach 16.02.2024 r. Udawał przejętego ich niezamożnością i zapewniał, że wymiana starych pieców na pompę ciepła zostanie w ich przypadku w 100 proc. dofinansowana. Mówił, że „państwo polskie wymyśliło ten program specjalnie dla nich, a firma PV Technik postanowiła wyjść naprzeciw takim ubogim ludziom jak oni”. – Pan Dawid był bardzo miły i przyjazny. Zapewniał, że obchodzi go nasz los. Wielokrotnie powtarzał, że ja i moja żona tylko na tym „Czystym Powietrzu” skorzystamy i nie poniesiemy żadnych kosztów. A będziemy mieć założoną pompę ciepła i panele słoneczne, wymienione okna i drzwi, ocieplony dom – tak relacjonuje przebieg tej wizyty ojciec pani Anny.

Mężczyzna ma bardzo skromną emeryturę, a dochodem jego żony ostatnio był tylko zasiłek z miejscowego GOPS-u. Oboje od lat żyją na wsi bardzo skromnie, do tego są schorowani. Sama wizja tego, że na stare lata przestaną dźwigać wiaderka z węglem i palić w piecach – i to wszystko za darmo! – jawiła się jak cud. O wymianie okien i drzwi czy panelach słonecznych nawet nie marzyli. Trudno im zatem było uwierzyć, że teraz w Polsce dzieją się takie rzeczy.

Nieprzekonanych zaletami oferowanej umowy pan Dawid podchodził zatem z drugiej strony – zmieniając marchewkę na kij. – Powtarzał nam, że jeśli nie skorzystamy z „Czystego Powietrza”, to za chwilę będziemy płacić kary za używanie starych pieców. I że to ostatni moment – relacjonuje senior z powiatu radziejowskiego.

Umowa zawarta

Takich „panów Dawidów” w całym kraju była armia. Przedstawiciele firmy PV Technik z Goleniowa działali od Bałtyku aż po Tatry. Wiadomo to dzięki grupom w Internecie (typu „Oszukani przez PV Technik”), a także reportażom telewizyjnym i prasowym. O ogólnopolskim wymiarze sprawy od początku mówiła też prokuratura.

A co wydarzyło się później w domu rodziców pani Anny? Seniorzy zostali zmanipulowani skutecznie. Podpisali też podsunięty im przez pana Dawida wniosek i tym sposobem stali się beneficjentami umowy zawartej z WFOŚ w Toruniu. Dokładnie 5.08.2024 r. dostali SMS z informacją, że urząd wypłacił PV Technik zaliczkę w wysokości 60 tys. 350 zł. Co ciekawe – i powtarzalne w tych scenariuszach – pan Dawid założył nawet seniorom pocztę mailową, by mogli dopełnić formalności. Taki był pomocny...

Ciąg dalszy? Niewykonana termomodernizacja (po monitach jedynie wyłożono watą strop domu), wydzwanianie i brak kontaktu z firmą. Wreszcie, po konsultacjach z rodziną, próba wypowiedzenia umowy i zgłoszenie sprawy do miejscowej prokuratury. Ta przekazała ją do Szczecina, informując, że postępowanie ma sygnaturę akt 3040-2.Ds.55.2025 (stąd wiemy, jak i inni, że śledztwo tej właśnie firmy dotyczy – prokuratura w komunikatach nazwy spółki nie wymienia).

– Ja o wszystkim dowiedziałam się od rodziców dopiero po jakichś 3 miesiącach od zawarcia przez nich umowy – mówi pani Anna, mieszkająca w dużym mieście Kujawsko-Pomorskiego. – Gdy okazało się, że obiecanej termomodernizacji nie ma, zaczęłam, oczywiście, działać. Kontaktu z firmą praktycznie nie było. Potem pojawiły się informacje, że ogłosiła upadłość. Byłam coraz bardziej przerażona, znajdując w internecie grupy pokrzywdzonych i relacje tych, którzy już w kraju byli wzywani przez WFOŚiGW do zwrotu prefinansowania, czyli tych tysięcy złotych wcześniej trafiających na konto firmy... Nie wszystkie WFOŚiGW tak robią – zależy chyba od regionu, ale to się jednak dzieje.

Narodowy Fundusz: „Nie jesteśmy stroną”

Według dostępnych wszędzie informacji program „Czyste Powietrze” realizowany jest przez Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Tak też w komunikacie zaznaczyła prokuratura. Pani Anna zatem – w imieniu swojego ojca – do NFOŚiGW skierowała wystąpienie dotyczące nieuczciwych działań firmy PV Technik z Goleniowa. Odpowiedzi udzielił jej ojcu (na piśmie) Witold Retke, zastępca dyrektora Departamentu „Czystego Powietrza” w Funduszu.

Poinformował, że „sprawami związanymi z obsługą wniosków i oraz kontaktem z beneficjentami zajmują się WFOŚiGW”. Stąd kierunek: Toruń. To z tamtejszym oddziałem mężczyzna „utrzymywał kontakt”. Pan wicedyrektor wskazał, że jeśli wykonawca (tu: firma z Goleniowa) nie wykonał umowy, to sprawę trzeba skierować na drogę postępowania cywilnego. A jeśli jest podejrzenie popełnienia przestępstwa, należy zawiadomić śledczych. „Występując do prokuratury, rozpoczął Pan proces zadbania o swoje interesy” – pochwalił seniora w piśmie urzędnik. – NFOŚiGW nie jest stroną umowy zawartej między beneficjentem a wykonawcą. Dlatego obecnie nie dysponujemy narzędziami prawnymi, które pozwalałby nam skutecznie ingerować w sytuacje niewykonania lub nienależytego wykonania takich umów – napisał Witold Retke. Dodając jednocześnie, że Fundusz jako odpowiedzialny za realizacje „Czystego Powietrza” – wraz z innymi instytucjami i ministerstwami – pracuje nad zmianami prawnymi, które wesprą poszkodowanych przez nierzetelnych wykonawców. Projekt przewiduje m.in. możliwość zawieszenia ściągania nierozliczonych zaliczek od poszkodowanych beneficjentów. „Podkreślamy, że prace legislacyjne wciąż trwają” – napisał wicedyrektor.

Dramatyczne historie

Pani Anna postanowiła swoich przerażonych i załamanych cała sprawą rodziców sprowadzić ze wsi do siebie. Sama też żyje w strachu – nie wie, skąd miałaby wziąć owe 60 tys. zł zaliczki z Funduszu, jeśli ten wezwie jej ojca do zwrotu pieniędzy w świetle niewykonanej umowy na termomodernizację domu. – W przerażeniu śledzę też historie innych ludzi z całego kraju – podkreśla kobieta.

A tych tylko przybywa. Prezentowane już były w mediach, pęcznieją od nich internetowe fora i grupy. Bohaterami tych historii często są ludzie niezamożni, starsi, schorowani, mieszkający w małych miejscowościach. To do tych najmniej zamożnych właśnie kierowali swoją ofertę przedstawiciele firmy PV Technik. Tzw. klienci z grup II i III mogli liczyć na najwyższe dofinansowanie, a co za tym idzie – firma mogła inkasować największe zaliczki (a przynajmniej taki mechanizm wskazują w internetowych opisach wtajemniczeni).

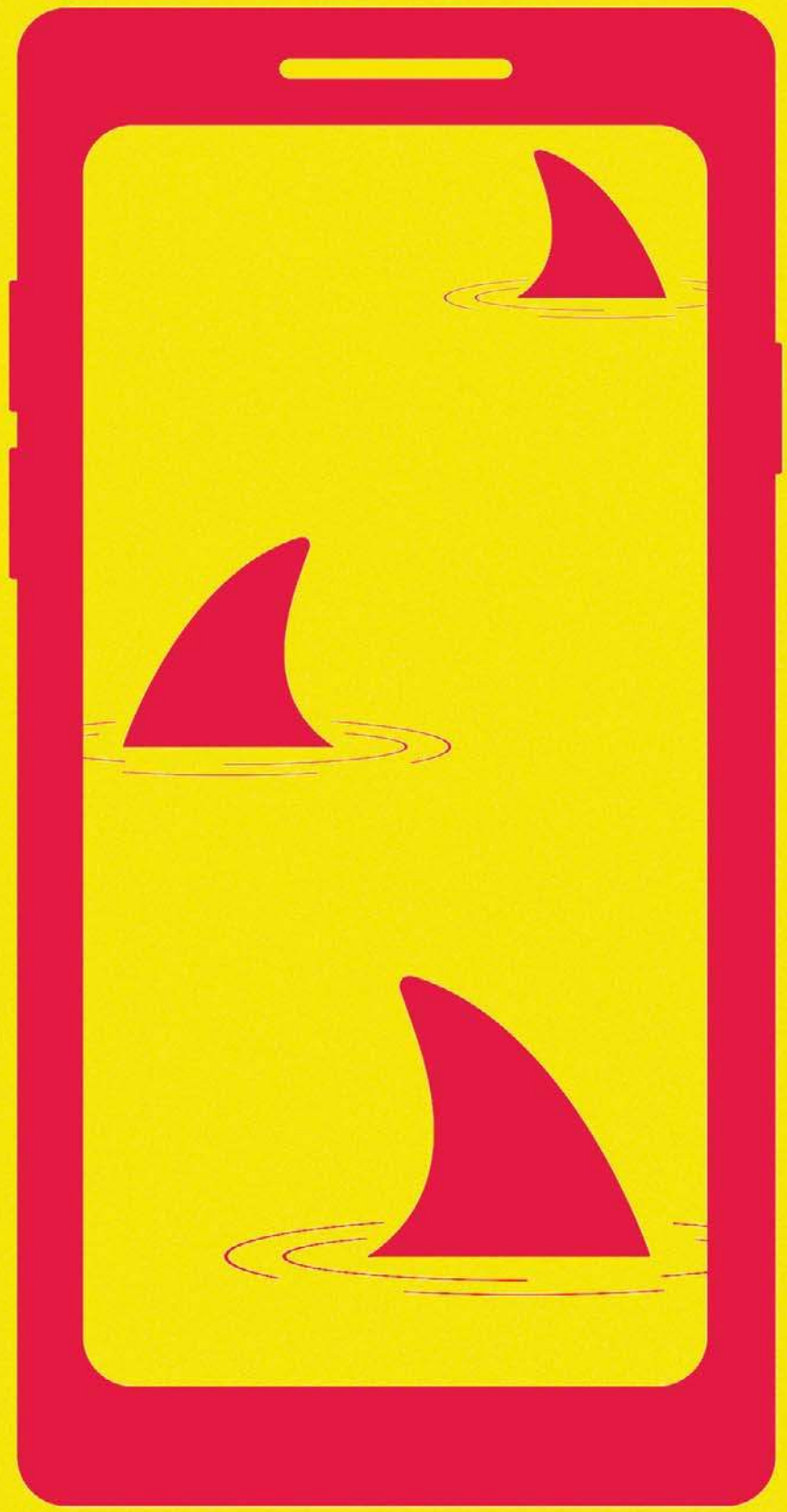
Coraz częściej też pojawia się pytanie o to, „kto na to wszystko pozwolił?!”. Mechanizm, w którym to prefinansowanie termomodernizacji z programu dotowanego przez UE tak łatwo trafia na konto firmy mającej ją wykonać, a nie do beneficjenta, zaczyna budzić coraz głębsze wątpliwości. Być może jego prawidłowością także zajmie się Prokuratura Europejska.

Bez kontaktu

„Nie odbierają telefonów, nie odpisują na maile, nie odpisują na listy” – skarżą się dziesiątki ludzi w kraju. My również próbowaliśmy skontaktować się z firmą PV Technik Goleniów – telefonicznie, pod numerem dostępnym w internecie. „Wybrany numer jest w tej chwili niedostępny. Po sygnale nagraj wiadomość” – słyszeliśmy wielokrotnie. Przy wizytówce firmy w Google znaleźliśmy natomiast komunikat: „Zamknięte na stałe”. Według relacji ludzi sprzed roku w firmie zmienił się właściciel i prezes (co jednak kontaktu nie poprawiło). Jaki jest jej status obecnie, trudno określić. ©℗

eprasa.pl 2cd4587c73

Cyfrowa zmora seniora



PULS
=212

BT

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

Alicja Polewska

CHRYSTE, ZNACZY CIERPLIWOŚCI!



Kiedy na naszej drodze - odkurzacza i mojej - stanął stół z krzesłami, poprosiłam: - Odwróć krzesła nogami do góry, żebym mogła posprzątać. I poszłam dalej, w głąb domu. Kiedy wróciłam do stołu z krzesłami zalegającymi na blacie, okazało się, że na podłodze, przy tylnej nodze stołu został koszyk z ładowarkami do telefonów wraz z aktualnie czerpiącym energię z gniazdka tabletem. - A to?! - pokazałam palcem. - Przecież mówiłaś o krzesłach - padła odpowiedź.

- Natychmiast odłóż tę szklankę! - podniesiony głos matki niósł się po całej kawiarni. - No słyszysz mnie?!

Dziecko, na oko jakieś 4-5 lat, spoglądało z niedowierzaniem to na szklankę po soku, to na matkę na zmianę z blatem kawiarnianego stolika.

- Nie rozumiesz? Odłóż. Natychmiast! - jeszcze jedno zdezorientowane spojrzenie i cichy brzdęk, kiedy malec położył szklaneczkę na boku, z powagą asekurując, żeby ta sturlała się na podłogę. - No co ty wyprawiasz?! - matka rzuciła się, żeby przejąć szkło. - Dlaczego tak kładziesz?

- Mama mówiła: odlus - kilkulatek odpowiedział z rozbrajającą szczerością. - Odlozylem.

Zrobiła się burza z piorunami wokół grafiki rodem z AI, na której prezydent USA wygląda wypisz wymaluj jak Chrystus wskrzeszający z martwych; w otoczeniu pielęgniarki, żołnierza, kilku myśliwców i dumnie powiewającego sztandaru stars and stripes. Ponoć większość nie zrozumiała intencji. Przecież to nie Chrystus, tylko doktor Czerwonego Krzyża z twarzą do złudzenia przypominającą Donalda Trumpa. No jak można tego nie widzieć?! Toż to czysta złośliwość i złe języki! Jednak dla dobra sprawy grafika z konta prezydenta Stanów Zjednoczonych zniknęła. Więc teraz informacja o tym, że w ogóle istniała jest... plotką i pomówieniem.

- Ja tak mówiłem?! W życiu! - ile razy z ekranu telewizora wylewa się zapewnienie, że moje słowa wcale nie były moje, a osoby, które poczuły się dotknięte - mogę przeprosić (to jest, moim zdaniem, najgorsza z możliwych forma przeprosin - jak splunięcie w twarz osobie, której najpierw przywaliło się radośnie z obu nóg).

To było zwyczajne z pozoru zaproszenie na biznesowe spotkanie: temat, miejsce, data i miłe słowa: „Spotkajmy się w samo południe". Podpis i numer do kontaktu ze zwyczajową formułką „W razie pytań, pozostaję do dyspozycji". Telefon zadzwonił następnego dnia: - W samo południe, to o której wypada?

Jako nastolatka zaczytywałam się książką autorstwa kpt. Karola Borchardta „Znaczy Kapitan". Pośród wielu przytaczanych przez autora sytuacji, których bohaterem był tytułowy kapitan Mamert Stankiewicz, była i ta (cymesik!), kiedy wyprowadzony z równowagi przez podwładnych (co już było nie lada wyczynem!) wilk morski - rzucił przez zaciśnięte zęby: Chryste, znaczy cierpliwości!

Adam Buła

ELEGIA O UTRACONEJ ĆWIARTCE



Przyznam szczerze, że nóż mi się w kieszeni otwiera na hejt, jaki medialni celebryci wypluwają ostatnio na chłopaka z Krakowa, który zbierając plastikowe butelki, zarobił sobie w miesiąc prawie 1700 PLN. Prym w tym wiedzie Krzysztof Stanowski, szef „Kanału Zero", który przy okazji zaliczył jeden z bardziej głupawych swoich występów.

Och, zaradny i samodzielny młodzieniec to oczywiście tylko pretekst do ataku na system kaucyjny: bezpośrednio można uderzyć w odpowiedzialną za jego wprowadzanie minister Hennig-Kloskę, docelowo - a jakżeby inaczej - w Tuska.

W przeciwieństwie do kaucji za butelki, krytyka samej pani minister nie jest zresztą trudna, bo - jak to się ładnie teraz mówi - nie jest to najostrzejsza kredka w piórniku. Do pozytywnej w sumie historii 15-letniego Wiktora, opisanej zresztą najpierw przez naszą „Gazetę Krakowską", pani minister musiała w swoim wpisie w socialach dodać: „Bohater z Krakowa". Co, umówmy się, aż prosiło się o przytomną kontrę.

To jednak, co zrobił z tym Krzysztof Stanowski, to nie była kontra, tylko prostacki i totalnie bucowaty atak na młodego Wiktora, którego wprost zwyzywał od „beja". Nie wiem, skąd Stanowski zna takie słowa, ale formalnie bej to synonim brudnego, zaniedbanego menela lub prościej: śmierdzącego żula! I tak, do meneli-złomiarzy chłopak został przez jaśniepana Stanowskiego przyrównany.

Jak zauważono, to był tylko łatwy pretekst do ataku na wprowadzenie samego systemu kaucyjnego - krytykowanego głównie na podstawie jednostkowego badania firmy, o której nikt wcześniej nie słyszał. Podoba mi się bon mot, jaki ostatnio wykonał w dyskusji Bartosz Arłukowicz, na podniesioną wątpliwość, że może za ostro atakuje prawicowych adwersarzy. Arłukowicz spokojnie wyjaśnił: jak się wpada w łapy ludożerców, to się nie puszcza im slajdów, że trzeba się zdrowo odżywiać, tylko trzeba walczyć tak, jak oni!

Dlatego nie chce mi się w przypadku „Kanału Zero" niczego sprawdzać, tylko od razu podjadę cienką aluzją dokładnie w ich stylu: ciekawe, czy tego ataku na system kaucyjny nie zlecił Stanowskiemu jakiś interesariusz, bo jest ich w systemie sporo...

Jakby nie było, „Kanał Zero" ochoczo tropi przekręty w systemie po drugiej stronie, na co na dziś koronnym dowodem jest to, że firmy obsługujące system kaucyjny w ciągu 10 lat zarobią ok. 8 mld zł z tytułu butelek, których nam się nie będzie chciało oddać.

I na jednym oddechu panisko Stanowski wybucha tyradą, że on ma taki luksus, bo go stać, że on butelek do butelkomatów zwracał nie będzie, bo - jak wyżej - nie jest żulem-śmieciarzem.

Pal sześć, że trochę tu opluł nas wszystkich, ale na litość, gdzie tu logika: firmy będą zarabiać na niezwróconych butelkach tym więcej, im więcej znajdzie się takich ciuli jak Stanowski...

System kaucyjny, jak każdy plan, nie wytrzymał kontaktu z przeciwnikiem, w tym wypadku ze zwykłą rzeczywistością. Mnóstwo w nim jest niedociągnięć i zwykłych głupot, więc trzeba je wskazywać i poprawiać, a nie centralnie sekować. Przynajmniej dopóki nikt nie zaneguje innych, podawanych przy tej okazji danych: że zbieramy tego plastiku dzięki kaucjom więcej niż przy wrzucaniu go do żółtych worków.

Zresztą każda z takich nowych regulacji jest irytująca na początku - ja do dziś nie za każdym razem potrafię dobrze nakręcić nakrętkę uwiązaną do butelki. Tylko po co z tego robić od razu gównoburzę?

Krzysztof Stanowski dość młody jeszcze jest, więc może nie pamiętać, że „nowinki z Brukseli" uderzyły groźnie w NAS, Naród Polski, tylko raz. I to na samym początku - gdy tuż po wejściu do Unii zakazano sprzedaży napojów alkoholowych w objętości 250 ml - ćwiartek znaczy się.

To był szok dla całego pokolenia, bo każdy prawdziwy Polak-katolik-patriota przecież dobrze wie, że 200 ml to ciut za mało, a 2x200 ml to już sporo za dużo. Nagła utrata tego złotego, staropolskiego balansu to było tysiące ludzkich dramatów ze źle wcelowaną konsumpcją...

W obliczu tamtej, zdradzieckiej, nigdy nierozliczonej napaści unijnych biurokratów na pradawną polską kulturę, zanoszenie plastikowych butelek do automatu kaucyjnego w sklepie naprawdę nie jest warte zapału, z jakim się Stanowski odpala. No, chyba że - jak się już tu mu ślisko podjechało - jednak ktoś mu ten trud opłaca.

W każdym razie sezon się zaczyna, więc jak w parku, lesie czy na plaży zobaczycie porzuconą plastikową butelkę, to pewnie ślad po fanie redaktora Stanowskiego, który rzucając ją, zakrzyknął śladem swojego idola: a co k..., stać mnie.

Marcin Romanowski i Zbigniew Ziobro nie zostaną na Węgrzech długo. (...) Sugerowałem im już wcześniej, żeby nie chodzili do Ikei i nie kupowali mebli, bo nie zostaną tu długo. (...) Węgry nie będą wysypiskiem dla przestępców poszukiwanych przez społeczność międzynarodową.

PETER MAGYAR, PRZEWODNICZĄCY TISZY, KANDYDAT NA NOWEGO PREMIERA WĘGIER

eprasa.pl 2cd4587c73

FOTO*komentarz tygodnia*



FOT. PAP/EPA/LUCA ZENNARO

14 MARCA, WATYKAN/USA

Papież Leon XIV udał się z pielgrzymką do kilku krajów afrykańskich (zdjęcie obok wykonano w Algierii), ale dużo więcej światowej uwagi przyciągnęła jego potyczka językowa z Donaldem Trumpem. Zaczęło się od uwag Ojca Świętego dotyczących wojny w Iranie - Leon XIV nazwał ją „szaleństwem". W reakcji amerykański prezydent nazwał go „słabym papieżem" i kilka razy ostro skrytykował. Przy okazji wrzucił grafikę ze sobą w pozie Jezusa (później ją skasował). Ale ta szarża Trumpowi popularności nie przyniosła - jego poparcie wśród amerykańskich katolików błyskawicznie spadło



FOT. GPW

16 KWIETNIA, WARSZAWA. **Równo 35 lat temu ruszyła Giełda Papierów Wartościowych. Dziś to największy parkiet Europy Środkowej, w dodatku bardzo rozgrzany. W tym tygodniu giełda pobiła (kilka razy) rekord notowań swojego głównego indeksu WIG. Jest teraz najwyżej w swojej historii**



FOT. ZRZUT Z EKRANU YOU TUBE

15 MARCA, WARSZAWA. **Polska zmaga się z plagą dzików. Z pomocą przyszedł humanoidalny robot Edward Warchocki, który ganiał je po ulicach stolicy. Wideo to pokazujące stało się globalnym hitem**



FOT. PAP/TOMASZ GZELL

15 KWIETNIA, WARSZAWA. **Tak będzie wyglądał pomnik gen. Tadeusza Jordan-Rozwadowskiego, który stanie przed Sztabem Generalnym. Bohater Bitwy Warszawskiej 1920 r. wreszcie zostanie doceniony**

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

Są bardziej samotni i pozostawieni sami sobie. Badania pokazują, że wciąż nawet 70 proc. osób powyżej 60. roku życia nie korzysta z internetu, jeszcze więcej nie potrafi poruszać się w cyfrowym świecie. Ale jeśli już do niego wejdą, dobrze sobie w nim radzą. Trzeba im tylko ten cyfrowy świat pokazać i objaśnić, jak się w nim poruszać

Dorota Kowalska

INTERNETOWE RAFY, CZYLI ZAGUBIENI W CYFROWYM ŚWIECIE

Krystyna, 73 lata, z telefonem ogląda ulubione teleturnieje, czyta, czy po prostu siedzi. Kiedy w teleturnieju „Milionerzy" pada jakieś trudne pytanie, odpowiedź natychmiast sprawdza w telefonie.

– B, b! – podpowiada.

Nie zna jakiejś aktorki – w telefon, nie zna jakiegoś polityka – w telefon. Tu czyta serwisy informacyjne, zagląda na Facebooka, wyszukuje prezenty dla dzieci i wnuków. Jej znajomi – podobnie. Kontaktują się ze sobą w mediach społecznościowych, na WhatsAppie wysyłają sobie zdjęcia, jesienią z grzybobrań, w lecie z wakacyjnych wyjazdów.

– Na komputerze robię opłaty i stawiam sobie pasjansa – mówi.

Jest w grupie seniorów, którzy uchodzą za postępowych. W każdym razie – dają radę w wirtualnym świecie, ale nie wszystko jest dla niej „do przejścia".

– Wielu rzeczy jednak nie potrafię robić, albo po prostu się boję. Nie płacę blikiem, nie robię zakupów w sieci, nie jestem w stanie kupić przez internet biletu na pociąg – przyznaje. Kiedy jedzie do syna, idzie wcześniej na dworzec i kupuje bilet w okienku, chce sobie kupić nową sukienkę – wybiera się do galerii handlowej.

– Jeśli mam jakieś pytania albo problemy z telefonem czy komputerem, dzwonię do syna, on mi wszystko tłumaczy. Dobrze funkcjonuje w cyfrowym świecie – przyznaje. – Te umiejętności, które mam, w zupełności mi wystarczają, chociaż pewnie, że mogłabym więcej rzeczy robić w sieci – wzrusza ramionami. I dodaje, że chętnie poszłaby na jakiś kurs doszkalający dla seniorów, ale w jej miejscowości takich nie organizują. A przydałyby się, zna osoby, które niczego w sieci nie zrobią, z każdą drobnostką biegną do swoich dzieci lub wnuków.

Dane niepokoją

Niski poziom umiejętności cyfrowych wśród seniorów to wyzwanie, przed którym stoją rządy niemal wszystkich państw świata. Przyspieszona cyfryzacja, zwłaszcza w okresie pandemii, pokazała, jak ważne jest włączenie wszystkich, bez względu na wiek, w ten proces. Tym bardziej, że w państwach rozwiniętych odsetek osób po 65. roku życia wynosi około 21 proc., w 2060 roku – według szacunków – ma już wynieść 32 proc. Naukowcy z Max Planck Institute for Human Development w Berlinie nie mają wątpliwości: osoby starsze, to jak żyją, jakie decyzje podejmują, będą miały coraz większy wpływ na sytuację gospodarczą i społeczną. Ich przewidywania nie są bezpodstawne, według badania think tanku Age Economy, do 2030 roku osoby po sześćdziesiątce będą odpowiadać za 60 proc. globalnej konsumpcji. W Stanach Zjednoczonych już tak się dzieje. „Młodzi seniorzy", tzw. pokolenie Young Old, są główną siłą napędzającą gospodarkę. Ale też na całym świecie rośnie liczba osób, o których mówimy – seniorzy.

Może dlatego już dwa lata temu w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów odbył się okrągły stół, na którym przedstawiciele różnych organizacji i instytucji omawiali wyzwania, potrzeby i problemy seniorów związane z korzystaniem z nowych technologii.

– Rozwój tych kompetencji jest kluczowy, aby pomóc im w korzystaniu z technologii i ułatwieniu codziennego życia. Brak umiejętności cyfrowych zwiększa podatność na cyberzagrożenia i wykluczenie społeczne, a także ogranicza zdolność do zdobywania nowej wiedzy i dalszego rozwoju – mówił wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski.

Według danych Głównego Urzędu Statystycznego (GUS), w 2022 roku udział osób starszych w populacji Polski wyniósł 25,9 proc., podczas gdy w 2005 roku było to 17,2 proc.

Tymczasem dane Eurostatu z 2023 roku wskazują, że blisko 56 proc. osób w Polsce, czyli około 14,5 miliona ludzi, nie posiada podstawowych umiejętności cyfrowych. W grupie wiekowej 55-74 lata niski poziom kompetencji cyfrowych dotyczy niemal 82 proc. osób, czyli około 7,2 miliona seniorów, podczas gdy średnia w krajach Unii Europejskiej wynosi około 63 proc. Oznacza to, że prawie połowę osób bez podstawowych umiejętności cyfrowych w Polsce stanowią seniorzy. Wśród tych, którzy nigdy nie korzystali z internetu, największą grupę w 2023 roku stanowiły osoby w wieku 60-74 lata – niemal 2 miliony osób (1 991 700), co stanowi ponad 75 proc. wszystkich osób w Polsce, które nie buszują w sieci.

– W dobie cyfryzacji, umiejętności te nie są luksusem, a koniecznością. Musimy zapewnić osobom starszym dostęp do wiedzy i narzędzi, które umożliwią im pełne uczestnictwo w społeczeństwie. Przełamanie barier cyfrowych to nie tylko kwestia technologii, ale także poprawy jakości życia, samodzielności i bezpieczeństwa seniorów. Edukacja cyfrowa to inwestycja w przyszłość nas wszystkich – podkreślała minister ds. polityki senioralnej Marzena Okła-Drewnowicz.

Technologia ułatwia utrzymywanie kontaktu z bliskimi, zdobywanie nowej wiedzy i umiejętności, zwiększa świadomość zagrożeń. Umiejętność posługiwania się cyfrowymi usługami publicznymi, takimi jak mObywatel czy Internetowe Konto Pacjenta (IKP), ułatwia codzienne funkcjonowanie wszystkim, także seniorom.

– Zależy nam na zaangażowaniu jak najszerszej grupy organizacji i środowisk, które prowadzą aktywne działania edukacyjne skierowane do osób starszych. Tylko wspólnie możemy zaprojektować programy i konkretne działania, które z jednej strony otworzą tej grupie bezpieczny dostęp do technologii, ale także zbudują wśród nich przekonanie, jak duże korzyści im to może przynieść w codziennym życiu – mówił Paweł Olszewski, wiceminister cyfryzacji.

„NIGDY NIE ROBIŁEM OPŁAT PRZEZ INTERNET, NIE KUPOWAŁEM W SIECI BILETÓW, NIE ROBIŁEM ZAKUPÓW. DLACZEGO? BO ROBI TO ŻONA"

Osoby starsze zdają sobie sprawę, że muszą iść z duchem czasu. Według „Badania ankietowego seniorek i seniorów pod kątem ich oczekiwań i potrzeb edukacyjnych" realizowanego z Programu Operacyjnego Wiedza Edukacja Rozwój 2014-2020, respondenci chcą zdobywać nowe umiejętności i kompetencje (75 proc.) i być na bieżąco z dynamicznie zmieniającym się światem (56 proc.).

Za dużo, za szybko

Marian, przed sześćdziesiątką. Jak sam o sobie mówi – cyfrowy analfabeta. Pracuje, śmiga po internecie, ale w sieci wielu rzeczy zrobić nie potrafi.

– Nigdy nie robiłem opłat przez internet, nie kupowałem w sieci biletów, nie robiłem zakupów. Dlaczego? Bo robi to żona – przyznaje z rozbrajającą szczerością. I dodaje, że zaczyna mu to przeszkadzać. Wie, że musi kiedyś usiąść i wszystkiego się po prostu nauczyć.

– Dzisiaj to umiejętności niezbędne. Zrobiłem mały krok do przodu, bo nauczyłem się płacić blikiem. Żona mi pokazała, jak to robić. Wstyd mi już było, czasami w pracy na coś się składamy, zawsze słyszałem: „To przelej mi pieniądze blikiem". I widziałem miny kolegów, kiedy mówiłem, że nie potrafię. Więc to w końcu opanowałem – mówi.

Widzi, że cały świat przechodzi powoli do sieci. Wszystko można w niej zrobić. Ba, czasami nie można inaczej.

Halina, 77 lat, nie ukrywa, że ta cyfryzacja życia mocno ją irytuje. Ona jest tradycjonalistką. Woli się spotkać w cztery oczy niż przed monitorem, woli buty przymierzyć, zanim je kupi, opłaty wciąż robi na poczcie.

– Ale nie da się! Wiele rzeczy można załatwić wyłącznie w sieci. Ostatnio byłam u lekarza, chciałam się umówi na kolejną wizytę. Pani w recepcji kazała mi wejść na ich stronę i tam się zapisać. Kiedy stwierdziłam, że wolę to zrobić teraz, osobiście, wywracała oczami – wzdycha.

I dodaje, że dla niej to wszystko „za szybko i za dużo". Zawsze była aktywna zawodowo, wciąż biega na spotkania ze znajomymi, regularnie bywa w kinie i teatrze, ale w sieci kiepsko się czuje.

– Wstyd się przyznać, ale nigdy nie odbierałam rzeczy w paczkomacie. Nie wiem nawet, jak się go obsługuje, ale też niczego przez internet nigdy nie zamawiałam – przyznaje.

Czasami czuje, że nie nadąża, że świat pędzi do przodu, a ona została gdzieś daleko z tyłu, ale zna takich, którzy w ogóle nie mają komputera, nie korzystają z internetu i kompletnie niczego nie robią w sieci. Nie dlatego, że nie chcą. Nie umieją, a nie ma nikogo, kto im wytłumaczy cyfrową rzeczywistość. Badania pokazują, że wciąż nawet 70 proc. osób powyżej 60. roku życia nie korzysta z internetu. I nie zmieniła tego pandemia. To osoby wykluczone cyfrowo, bardziej samotne i pozostawione same sobie. Przesada? Wcale nie. Wystarczy poczytać fora internetowe.

Internauta 1: „Witam Wszystkich Seniorów internautów. To mój debiut na tym forum, dlatego liczę na wyrozumiałość i cierpliwość. Chylę czoła

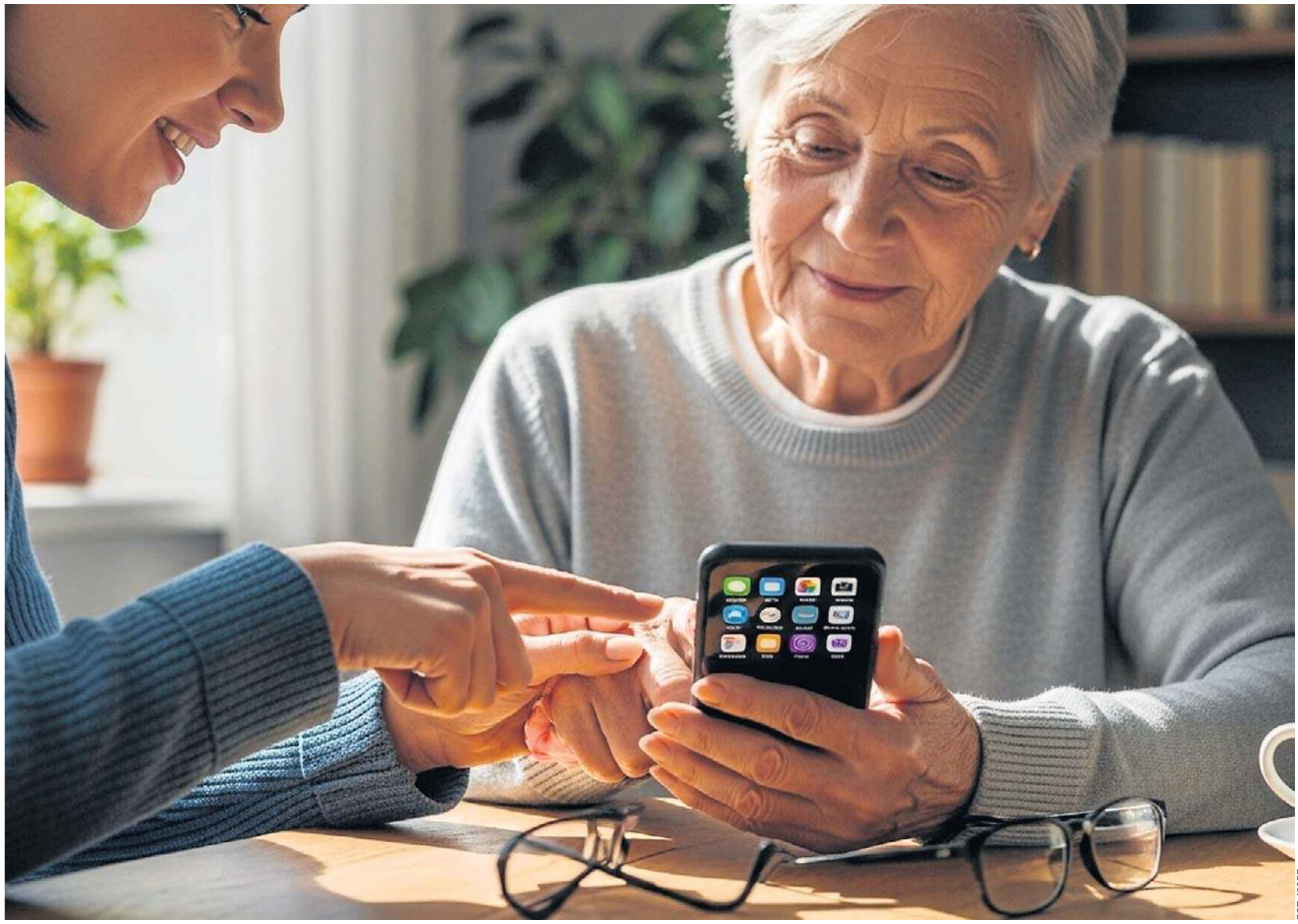
eprasa.pl 2cd4587c73

przed umiejętnościami, jakimi niektórzy się szczycą. Dla mnie komputer to ciągle enigma, ale nie tracę nadziei, nie należę do osób, które łatwo się poddają. Jestem autentycznym samoukiem, mozolnie dochodzę małymi krokami do pewnych wiadomości i wierzę, że pewnego dnia odkryję te wszystkie tajemnice, które jeszcze teraz skrywa przede mną ta „piekielna" maszynka".

Internauta 2: „To nie jest „piekielna" maszynka, tylko cudowny wynalazek. Jeżeli masz jakieś problemy, to po prostu pytaj. Pozdrawiam".

Internauta 3: „Witam i pozdrawiam wszystkich. To mój pierwszy raz w Senior Cafe i w ogóle na forum grup dyskusyjnych. Komputer mam od miesiąca i jestem trochę onieśmielona, bo z waszych wypowiedzi wynika, że macie ogromną wiedzę o możliwościach komputera. Ja się dopiero uczę. Kupiłam kilka książek i je po kolei przerabiam. Czytam też „Komputer Świat"- to czasopismo też bardzo pomaga. Do pierwszych sukcesów mogę zaliczyć własnoręczną instalację programu antywirusowego i ściągnięcie kilku tapet na pulpit".

Internauta 4: „Witajcie! Przeczytałam wszystkie posty i czuję się nieco dziwnie, bo coś w tym jest z konkursu „Kto starszy i co jeszcze może". Dla mnie to, że korzystam z internetu, piszę esemesy i umiem włączyć pralkę, to żadne osiągnięcie i nie rozumiem, dlaczego miałabym czuć się wyjątkowo. To raczej niezwykli są ci, co nie wykazują chęci używania ułatwień, jakie przynosi cywilizacja. Parę dni temu wróciłam z Bieszczad, gdzie robiłam codziennie piesze i rowerowe wycieczki i też nie czułam się heroicznie, mimo że byłam najstarsza i niekiedy musiałam wspierać o 20 lat młodszych. Wymarzony komputer mam od kilku miesięcy. Fascynuje mnie program Photoshop, którego intensywnie sama się uczę i szukam kontaktu z tymi co bardziej zaawansowani. Mam kilka problemów, których jak na razie nie umiem rozwiązać. Wszystkich pozdrawiam serdecznie".



FOT. 123RF

Część seniorów nie wyobraża sobie życia bez internetu. Bo też spora ich grupa chce podążać za światem, załatwiać sprawy, komunikować się ze znajomymi, dziećmi i wnukami

Wiele plusów

Naukowcy z Baylor University podkreślają, jak ważne jest korzystanie z nowych technologii przez osoby starsze. Analiza 136 badań z udziałem aż 400 tys. osób pokazała, że na intelekt seniorów cyfrowe technologie działają korzystnie. Regularne korzystanie z nich obniżało ryzyko zaburzeń poznawczych przeciętnie o 58 proc.

Jak zwracają uwagę autorzy raportu, dla niektórych wyniki te mogą być zaskakujące, bo korzystanie z technologii często kojarzone jest z fizyczną i umysłową biernością. Jednak dla obecnego pokolenia starszych dorosłych, które zetknęło się z pierwszymi osiągnięciami technologicznymi dopiero po okresie dzieciństwa, korzystanie z zaawansowanych technologii stanowi niemałe mentalne wyzwanie.

– Jedną z kwestii najczęściej podnoszonych przez dorosłych w wieku średnim i starszych było: „ten komputer mnie tak frustruje. To trudne do nauczenia się". To w rzeczywistości odzwierciedlenie wyzwania poznawczego, które może być korzystne dla mózgu, nawet jeśli w danej chwili nie wydaje się przyjemne – wyjaśnia autor analizy, dr Michael K. Scullin.

Ale też technologia wymaga ciągłego przystosowywania się, choćby zrozumienia nowych wersji oprogramowania, rozwiązywania problemów z połączeniem internetowym czy odfiltrowywania reklam.

– Jeśli robisz to przez lata i naprawdę się w to angażujesz, nawet jeśli odczuwasz frustrację, może to być oznaka, że ćwiczysz swój mózg – tłumaczy naukowiec.

To nie wszystko. Technologia ułatwia komunikację. Rozmowy wideo czy aplikacje do przesyłania wiadomości umożliwiają kontakt z innymi. To szczególnie ważne dla tych, których bliscy mieszkają daleko.

– Można łączyć się z innymi pokoleniami. Nie tylko z nimi rozmawiać, ale też ich widzieć. Można dzielić się zdjęciami, wymieniać e-maile i to wszystko można zrobić w ciągu sekundy lub jeszcze szybciej. To oznacza większą szansę na zmniejszenie poczucia samotności – mówi dr Scullin.

Więzi społeczne są niezwykle ważne, także, a może przede wszystkim, dla osób w starszym wieku.

Naukowcy zwracają uwagę na jeszcze jedną pozytywną stronę nowych technologii używanych w późniejszym wieku. Różne cyfrowe udogodnienia, takie jak bankowość online czy nawigacja GPS, wspierają niezależność. Specjaliści z University of East Anglia wskazują, że związany z wiekiem spadek zdolności nierzadko prowadzi do tego, że starsi kierowcy sami ograniczają korzystanie z samochodów, a tym samym i własną mobilność.

I tu z pomocą może im przyjść na przykład nawigacja, która także wśród seniorów jest coraz popularniejsza. Naukowcy przeprowadzili badanie z udziałem prawie 900 osób w wieku średnio 71 lat i okazało się, że korzystanie z pomocy nawigacji wiąże się ze zwiększoną mobilnością starszych kierowców.

Na inną pozytywną stronę używania cyfrowych technologii w późnym wieku zwrócili uwagę eksperci z University of Missouri i Baylor University. W swoim badaniu zespół ten sprawdził, jakie znaczenie mogą mieć smartfony dla seniorów, którzy mają ubytki w zdolnościach poznawczych i kłopoty z pamiętaniem o ważnych codziennych czynnościach, takich jak wzięcie leku czy wizyta u lekarza.

W eksperymencie z udziałem ponad 50 osób w wieku średnio 74 lat, uczestnicy z demencją lub łagodnymi zaburzeniami poznawczymi radzili sobie lepiej dzięki korzystaniu z osobistego asystenta działającego w smartfonach – aplikacji, która przypominała o nadchodzących wydarzeniach i aktywnościach.

– Udało nam się skutecznie nauczyć osoby starsze obsługi tej technologii, a ci, którzy najczęściej korzystali z osobistych asystentów, osiągali najlepsze wyniki w testach pamięci – relacjonował prof. Andrew Kiselica, współautor badania. – Niektórzy mogli mieć wątpliwości, czy jesteśmy w stanie nauczyć starsze osoby z zaburzeniami poznawczymi korzystania z tego typu technologii, albo czy uznają ją za przydatną. Wstępne wyniki sugerują jednak, że pomogła im ona w zapamiętywaniu i poprawiła jakość życia – podkreśla ekspert.

Tylko sieć

Anna i Marek są już na emeryturze. Dla nich internet to okno na świat.

Marek od lat marzył o tym, aby podróżować. Tylko wcześniej jakoś nie było czasu. Wiadomo, dzieci, praca, cała masa obowiązków. Nie to, żeby żyli nudno, ale bez szaleństw. Były wakacje nad morzem i ferie zimowe w górach. Od kilku lat razem z żoną przynajmniej trzy razy do roku wyjeżdżają za granicę, chcą coś zobaczyć, poznać innych ludzi, ich mentalność, styl życia, przenieść się w trochę inny świat.

Wszystko załatwiają przez internet, w sieci robią rezerwacje, wyszukują najlepsze wycieczki. On zna język angielski, więc najczęściej wyjeżdżają na własną rękę, rzadko korzystają z ofert biur podróży. Oboje z żoną nie lubią leżeć na plaży, zwiedzają. Zanim wyjadą, robią dokładny plan tego, co chcą zobaczyć, gdzie pojechać – i tu znowu z pomocą przychodzi im internet. Na miejscu wypożyczają samochód albo korzystają z miejscowych środków lokomocji.

– Przez internet robimy opłaty, zakupy, tu czytamy o tym, co dzieje się na świecie – tłumaczy Marek. Anna wchodzi mu w słowo: – No i najważniejsza sprawa: nasze dzieci mieszkają za granicą, nie widujemy się z nimi zbyt często, ale co drugi dzień rozmawiamy „na kamerkach" – mówi.

Nie wyobrażają sobie życia bez internetu. Bo też spora grupa seniorów chce podążać za światem.

– Z naszych codziennych obserwacji wynika, że coraz więcej starszych osób decyduje się na korzystanie ze smartfona, nie tylko do dzwonienia, ale przede wszystkim do innych form komunikacji ze światem. Aplikacje zakupowe, bankowe, social media, komunikatory już nie stanowią jedynie ciekawostki, stają się narzędziami codziennego użytku. Jako Fundacja SeniorApp prowadzimy szkolenia ze Smartfon Edukacji dla osób wykluczonych cyfrowo i widzimy, jak wielu przedstawicieli pokolenia Silver przełamuje swój strach przed nowymi technologiami – mówił portalowi flexi.pl Igor Marczak z fundacji SeniorApp.

Wszystkie badania pokazują jasno, że seniorzy, którzy weszli już do cyfrowego świata, dobrze sobie w nim radzą. Nie boją się technicznych nowinek i jeśli te ułatwiają im życie, chętnie z nich korzystają. Trzeba im tylko ten cyfrowy świat pokazać i objaśnić, jak się w nim poruszać.

PAP

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

- Péter Magyar wygrał, bo szczególnie mocno zmobilizowało się młode pokolenie Węgrów. W Polsce frekwencja w wyborach 2023 r. też była rekordowo wysoka. Ale w Polsce bardzo szybko doszło do rozczarowania obecnymi rządami właśnie wśród młodych. Rządzącym jest trudno na dłużej utrzymać ich przy sobie. To jest niezwykle istotna lekcja dla Magyara - mówi prof. Wawrzyniec Konarski, politolog, rektor Akademii Finansów i Biznesu Vistula

Agaton Koziński

KONARSKI: MAGYAR ZBUNTOWAŁ SIĘ WOBEC ORBÁNA - I WYGRAŁ

Bardziej Péter Magyar wygrał wybory na Węgrzech, czy odwrotnie - to Viktor Orbán bardziej je przegrał? Co przesądziło?
Akurat pana pytanie odbieram jako zabawę retoryczną, bo tego typu kwestie jest trudno rozdzielić. Natomiast warto tu podkreślić, jak skutecznie Magyar odbierał elektorat Orbánowi. Choćby udając się na „pielgrzymkę" do miasta Oradea, które jest częścią historycznego Siedmiogrodu. Wcześniej tam wyborców szukał Orbán, który bardzo dbał o diasporę węgierską w państwach ościennych. Zresztą generalnie Orbán często odwoływał się do retoryki historycznej, zwłaszcza do traumy po traktacie z Trianon z 1920 r., w wyniku którego Węgry straciły dwie trzecie swego terytorium sprzed 1914 r.

Orbán często odwoływał się do mitu „wielkich Węgier".
Nie sądzę, aby Péter Magyar chciał całkowicie z tej retoryki rezygnować. Nie będzie prowokował krajów ościennych - tak jak robił to wcześniej Orbán - ale z pewnością będzie pamiętał o tym, że wielu Węgrów ciągle odczuwa żal za utraconą wielkością, za ziemiami, które ten kraj utracił po I wojnie światowej, i po tym, jak Węgry zostały potraktowane wtedy przez Zachód. Słynne zawołanie Madziarów „Soha többé Trianon!" (Nigdy więcej Trianon) stało się historycznym wehikułem, do którego odwoływało się wcześniej wielu polityków węgierskich, nie tylko Orbán - choć on to robił w sposób bardzo ciekawy od strony czysto wizualnej. Kilka lat temu sporo jeździłem po Węgrzech i uderzyło mnie, że na małych stacjach kolejowych prezentowano mapę „wielkich Węgier", a nie Węgier współczesnych.

W swojej bibliotece Orbán trzymał globus, na którym jego kraj był przedstawiony w granicach sprzed Trianon.
Na tego typu działaniach bardzo długo opierała się jego popularność jako polityka. Konsekwentnie przypominał, jakie ziemie Węgry straciły.

A teraz Magyar go przelicytował w polityce historycznej i dlatego wygrał wybory, osiągając większość konstytucyjną?
Nie, nie przelicytował. Jego główne ostrze ataku na Orbána dotyczyło tego, że Węgry stały się w istocie zupełnie niewyobrażalnym na skalę europejską przykładem kleptokracji. Już dawno w Europie nikt nie traktował zasobów państwa tak, jak to zrobił Orbán. On de facto sprywatyzował ten kraj - za co był od dawna słusznie krytykowany. To był jego olbrzymi błąd.



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

Konarski: Tuska i Magyara dzieli różnica wieku, ale ich pomysł na politykę jest bardzo podobny

Kosztujący go utratę władzy.
Doszło do tego także dlatego, że w systemie władzy stworzonym przez Orbána wystąpiły elementy politycznego nepotyzmu. Wystarczy przypomnieć choćby ważną rolę, jaką w świecie medialnym odgrywał jego zięć. Inni członkowie jego rodziny również zajmowali istotne miejsca w strukturach państwa. To były szkolne błędy polityka, który chciał utrzymać władzę. Od zawsze wiadomo doskonale, że nie ma szans na sukces w demokratycznych wyborach przywódca, który szermuje hasłami o narodzie i państwie, a który pozwala równocześnie, by kabzę nabijały sobie tylko osoby mu najbliższe. To była wewnętrzna sprzeczność w jego publicznej retoryce, na dłuższą metę nie do utrzymania.

I w ten sposób wygrał Magyar - wystarczyło mu powiedzieć Węgrom, że będzie jak Orbán, tylko bez tych elementów kleptokracji?
Tam, gdzie uzna to za przydatne, będzie zapewne mówił i zachowywał się podobnie jak dotychczasowy premier, ale oczywiście nie będzie go naśladować in extenso. Odwrotnie - będzie chciał pokazać, w których obszarach znacząco się od niego różni. Oddzielna sprawa, że tych różnic nie będzie pewnie wiele. Proszę pamiętać, że Magyar nie ma nic wspólnego z lewicą. Ta zaś uległa na Węgrzech kompletnej fragmentacji (poniekąd na własne życzenie). W tym kraju nie ma żadnej silnej partii socjaldemokratycznej. Magyar to polityk centroprawicowy. Ma zresztą taki rodowód polityczny.

Przez 22 lata był prominentnym członkiem Fideszu. Zostawił tę partię dopiero w 2024 r. - i wtedy rzucił wyzwanie Orbánowi.
Wcześniej Fidesz był partią, która pochłaniała mniejsze przystawki, choćby skrajnie prawicowy Jobbik - część działaczy tej partii dołączyła do Fideszu, natomiast inna część odeszła do TISZA, ugrupowania Magyara. Widać wyraźnie, że Fidesz z czasem przekształcił się w pewnego rodzaju polityczny inkubator, w którym rodziły się nowe pomysły i nowi przywódcy. Peter Magyar okazał się z nich najskuteczniejszy.

W kolejnych wyborach po 2010 r. Orbán rozbijał w proch i w pył kolejnych opozycyjnych rywali. Dlaczego Magyar nie podzielił ich losu?
O błędach popełnionych przez Orbána w kierowaniu Węgrami już powiedziałem. Ale oczywiście polityka ma też silny wymiar personalny.

Gdyby w tych wyborach Orbán walczył - jak wcześniej - z postkomunistą Ferencem Gyurcsányem, pewnie miałby duże szanse na zachowanie władzy.
Z pewnością, natomiast z Magyarem przegrał zdecydowanie, który długo będąc w Fideszu poznał tę partię od środka. Zbuntował się w lutym 2024 roku w sposób ostentacyjny i potem zaczął bardzo szybko zyskiwać popularność - właśnie dlatego, że poznał doskonale coś, co ja bym nazwał roboczo wewnętrznymi sprężynami zarządzania tą partią. Cały proces „robienia" polityki w tej partii był mu znany. Równocześnie trudno go uznać za kogoś diametralnie różnego ideologicznie od Orbána. Odwrotnie. To fideszowski insider, który się zbuntował wobec lidera i na kanwie własnych ambicji zbudował silny ruch wokół siebie.

Jak Pan opisałby ruch TISZA?
On ma charakter amalgamatu politycznego. W jego skład wchodzą różnego rodzaju elementy ideologiczne, także lewicowe - to jeden z powodów praktycznego zaniku dawnych socjalistów. Sam skrót TISZA rozszyfrowuje się jako Partia Szacunku i Wolności. Już ta nazwa to inteligentne odwołanie się do aspiracji Węgrów jako społeczeństwa. Węgrzy po prostu nie chcieli być

eprasa.pl 2cd4587c73



FOT. PAP/EPA/ROBERT HEGEDUS

Konarski: Hasła walki z kleptokracją dały Magyarowi potężny sukces wyborczy. Udało mu się doprowadzić do niespotykanej mobilizacji politycznej społeczeństwa

identyfikowani z państwem, które stało się kleptokracją i europejską wyspą nepotyzmu na wielką skalę. Różnice ideologiczne między TISZA i Fideszem mogą się okazać mniejsze, niż można by się spodziewać po intensywności kampanii. Natomiast z pewnością Magyar będzie musiał dotrzymać słowa, jeśli chodzi o stworzenie z Węgier ponownie państwa prawnego.

Viktor Orbán wzbudzał mnóstwo kontrowersji swoim stosunkiem do Rosji, do Chin, ale też relacjami z Donaldem Trumpem. Czego się Pan spodziewa po Péterze Magyarze w kwestii polityki zagranicznej?
Na pewno tego, że będzie wiedział, jak się poruszać w tym obszarze. Jeśli chodzi o politykę międzynarodową, on też ma tu wiedzę insidera - przecież jest obecnie europosłem. On zna ten świat i wie doskonale, że tu musi się wyraźnie odróżnić od Orbána, którego ostatnio pogrążył jego własny minister spraw zagranicznych, ostentacyjnie pokazując powiązania rządu z Kremlem. Te wszystkie elementy niechęci pod adresem Ukrainy, bardzo widoczne, które demonstrował Orban, na dłuższą metę nie były do utrzymania. To Ukraina została zaatakowana przez Rosję, nie na odwrót. Jeśli Węgry - kraj tak silnie doświadczony przez utratę swoich ziem po pierwszej wojnie światowej - opowiada się w tym momencie za państwem, które chce pozbawić części terytorium inny kraj, to wyborcy mają prawo uznać to za brak logiki politycznej. To również w dużym stopniu pogrążyło Orbána. Spodziewam się, że Magyar pójdzie w innym kierunku. Nie będzie miał zresztą z tym problemów, bo zna dobrze przywódców Unii Europejskiej i ich nastawienie do tej kwestii.

Sięga Pan po odwołania historyczne, tymczasem współpraca Orbána z Putinem miała podłoże przede wszystkim pragmatyczne - w ten sposób Węgry mogły kupować od Rosji tanio gaz i ropę. Jak według Pana nowy przywódca węgierski z tym sobie poradzi?
Będzie musiał, podobnie jak inne państwa europejskie, szukać alternatywnych źródeł, które będą mogły tę energię dla Węgier generować.

Magyar już zapowiedział, że nie zamierza zrywać kontraktów energetycznych z Rosją.
Ale też nie będzie się zachowywał jak rosyjski koń trojański w Europie, które to określenie stosowano wobec Orbána. Można założyć, że jego działania będą też zrozumiane w ramach struktur samej Unii Europejskiej. Może go inspirować przykład Polski, która w ciągu kilku lat zdołała uwolnić się od dostaw surowców energetycznych z Rosji.

Węgrzy mogą sprowadzać gaz LNG z USA za pośrednictwem gazoportów w Polsce i w Chorwacji. Tylko czy Péter Magyar dogada się w tej kwestii z Donaldem Trumpem, który tak jednoznacznie wspierał jego rywala?
Ewidentnie, tak jednostronne popieranie jednego tylko kandydata na Węgrzech to był istotny błąd samego Trumpa. Na to jeszcze nałożył się pokaz nieudolności zademonstrowany w czasie przyjazdu na Węgry wiceprezydenta J.D. Vance'a, który w niczym Orbánowi nie pomógł.

Tylko że biorąc pod uwagę tę sekwencję zdarzeń, trudno się spodziewać ciepłych relacji między Magyarem i Trumpem.
Myślę, że może się stać inaczej, jeśli wrócimy do mentalności transakcyjnej, po którą sam Donald Trump bezustannie sięga. Jeśli Trump zobaczy, że istnieją elementy, które będą mogły tworzyć linię porozumienia USA z nowym rządem węgierskim, to amerykański prezydent w kierunku tej transakcyjności pójdzie. Nie spodziewam się, żeby Trump okazał się w tym momencie większym doktrynerem niż pragmatykiem - gdyby tak się stało, byłoby to duże zaskoczenie. Trump, jak wiemy, lubi grać z silnymi i zwycięzcami, a Magyar pasuje do wizerunku polityka silnego.

Donald Tusk od początku podkreśla bardzo bliskie relacje z Péterem Magyarem, który swoją pierwszą wizytę zagraniczną jako premier ma zresztą złożyć w Warszawie. O co może grać duet Tusk-Magyar?
Co prawda, ich obu dzieli różnica wieku, ale też w wielu miejscach są do siebie podobni, warto to podkreślić. Proszę zwrócić uwagę choćby na partie, na czele których stoją. Obaj próbują w nich łączyć różnego rodzaju wrażliwości i różne wątki ideologiczne w ramach jednego ugrupowania. Tuskowi to wychodzi gorzej, Magyarowi zdecydowanie lepiej, ale faktem jest, że ich pomysł na uprawianie polityki jest bardzo podobny. Obaj też odwołują się do haseł walki z łamaniem zasad państwa prawa, a także walki z kleptokracją. Te hasła dały Magyarowi potężny sukces wyborczy, gdyż udało mu się doprowadzić do niespotykanej mobilizacji politycznej społeczeństwa.

FORMUŁA BEZPOŚREDNIEGO ZAANGAŻOWANIA SIĘ AMERYKANÓW W KAMPANIĘ WYBORCZĄ OKAZAŁA SIĘ FALSTARTEM NA WĘGRZECH

Frekwencja wyborcza sięgnęła niemal 79 proc. - 10 punktów procentowych więcej niż cztery lata temu.
Szczególnie mocno zmobilizowało się młode pokolenie Węgrów. W Polsce frekwencja w wyborach 2023 r. też była rekordowo wysoka, choć nie tak duża jak teraz na Węgrzech. Wiemy też, że w Polsce bardzo szybko doszło do rozczarowania obecnymi rządami właśnie wśród młodych. To pokolenie jest dzisiaj nastawione w Polsce na maksymalizację własnych zasobów materialnych i intelektualnych, a w mniejszym stopniu jest skłonne do poświęceń w sferze publicznej. Rządzącym jest trudno na dłużej utrzymać ich przy sobie. To jest niezwykle istotna lekcja z Polski dla Magyara - co robić, by utrzymać ich zaangażowanie. To jest również niezwykle istotny komunikat dla obozu polskiej prawicy, zarówno tej prawicy konserwatywno-mainstreamowej, czyli PiS-u, jak i tej prawicy radykalnej, a więc obu Konfederacji. Walka o to, żeby utrzymać mobilizację ludzi młodych w czasie kampanii wyborczych, stanie się elementem kluczowym, jeśli chodzi o działania w ciągu najbliższych kilkunastu miesięcy. Mówię teraz zarówno o obozie władzy, jak i o opozycji.

Jak ułożą się relacje na linii Kijów-Budapeszt po zmianie władzy na Węgrzech? Wiemy, że teraz było źle, bardzo źle. Obie strony traktowały te relacje narzędziowo, do rozgrywki wewnątrz własnego kraju. Jak teraz to może wyglądać?
Spodziewam się tutaj zmiany, aczkolwiek nie fundamentalnej. Już o tym przed chwilą rozmawialiśmy. Magyar, podobnie jak teraz Orban, będzie się odwoływał do tęsknot Węgier związanych z utratą ziem w wyniku traktatu z Trianon. Nie będzie mógł zatem pozostać obojętny, jak jego poprzednik, na los Ukrainy, która jest ofiarą agresji rosyjskiej. Węgrzy akurat dobrze wiedzą, co to znaczy mieć poczucie utraty części ziem historycznie związanych z własną ojczyzną. Oczywiście, to będzie bardziej złożony proces, bardziej wielopłaszczyznowy, ale zakładam, że teraz relacje węgiersko-ukraińskie będą oparte na większym zrozumieniu.

Na koniec przenieśmy się do roku 2027. Wtedy czeka nas seria ważnych wyborów w Europie - w Polsce, ale też we Włoszech, Francji, Hiszpanii, wybory lokalne w Niemczech. Czego się spodziewać? Czy wybory na Węgrzech są sygnałem, że marsz prawicy do władzy został zatrzymany? Że wsparcie Donalda Trumpa nie pomaga w Europie, jak to wcześniej miało miejsce w wyborach prezydenckich w Polsce?
Przypadek Węgier pokazuje, że wpływ Trumpa na wynik wyborczy w Europie może być nieznaczny. Notabene tak zdarzyło się nie tylko tam - także w Mołdawii wybory ułożyły się inaczej niż plany Białego Domu. Transakcyjność Trumpa jest bronią, która w pewnym momencie zaczęła się zużywać i dlatego nie można jej stosować skutecznie i bezustannie. Tego typu narzędzia wymagają subtelnej gry, a już z pewnością nie takich zachowań, jakie wielokrotnie demonstrował wiceprezydent Vance.

Po jego wyjeździe do Budapesztu słychać głosy, że jego notowania w oczach Trumpa mocno spadły.
Przede wszystkim sam Vance kompletnie nie rozumie Europy. Nie ma wiedzy o dziejach Europy i mentalności Europejczyków, wielokrotnie pokazując, że jest politykiem doktrynerskim i aroganckim. W związku z tym Trump się musi zastanowić, jakiego typu działania o charakterze operacyjnym będzie mógł stosować, jeśli wciąż będzie chciał wpływać na wyniki wyborów w państwach europejskich.

O Trumpie w kontekście przyszłorocznych wyborów będzie się szczególnie dużo mówiło w Polsce.
Nasz przypadek jest bardzo istotny. Natomiast faktem jest, że formuła bezpośredniego zaangażowania się Amerykanów w kampanię wyborczą okazała się falstartem na Węgrzech. Zakładam, że teraz Trump będzie sięgał po nią ostrożniej - tym bardziej, że Biały Dom jest mocno obciążony z tytułu wojny, którą zaczął wraz z Izraelem przeciwko Iranowi. Można sformułować prognozę, że za sprawą elekcji na Węgrzech przyszłoroczna seria wyborów w państwach europejskich będzie się rozstrzygać w nich samych.

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026



FOT. RADOSŁAW DIMITROW

Butelki z kaucją i puszki aluminiowe nie trafiają już do samorządów. Spółki komunalne nagle straciły dopływ pieniędzy z tego tytułu. Coraz częściej słychać głosy, że skończy się to podwyżką opłat za odbiór odpadów

JAK PRZECHYTRZYĆ AUTOMAT W SYSTEMIE KAUCYJNYM

Klienci w całej Polsce narzekają na działanie systemu kaucyjnego. Ale można ułatwić sobie życie, jeśli zna się zasady. Niektórzy nawet sporo zarabiają.

Matylda Witkowska

Pana Grzegorza z Łodzi system kaucyjny doprowadził niedawno na skraj załamania nerwowego. Początkowo Łodzianin do pomysłu zbierania opakowań był pełen zapału. Przez kilka tygodni pieczołowicie odkładał butelki i puszki, by przy okazji zakupów zawieźć je do najbliższego supermarketu. – Butelki i puszki składowałem w worku na balkonie. Gdy zaczęły się wysypywać, zabrałem worek i pojechałem do osiedlowej Biedronki – opowiada pan Grzegorz.

Niestety automat w supermarkecie z jakiegoś powodu był nieczynny, podobnie jak pozostałe na jego osiedlu. Pan Grzegorz próbował szczęścia w kilku miejscach, ale wszędzie coś było nie tak.

– Mnóstwo osób oddaje na naszym osiedlu butelki, nawet automaty w supermarketach nie są w stanie ich pomieścić. Natomiast w Żabce butelkomat jest chyba wielkości lodówki, miejsce w nim robi się przez chwilę, potem ludzie się rzucają z butelkami i znów jest pełen, i odmawia przyjmowania – opowiada Łodzianin.

W końcu dzień przed świętami automat w Biedronce nagle zadziałał. – Ucieszyłem się jak dziecko, pobiegłem do domu po mój worek z balkonu, wróciłem do sklepu, wrzuciłem butelki i dostałem paragon. Wyszło 19 zł, więc całkiem niemało – opowiada Łodzianin.

Po świętach chciał wykorzystać voucher na zakupy, ale okazało się, że kasa zupełnie go nie widzi.

– Na miejsce został wezwany kierownik, okazało się, że automat drukuje paragony z błędem i system kaucyjny w ogóle ich nie widzi. Po debacie pieniądze wypłaciła mi kasjerka. A automat znowu został wyłączony – opowiada pan Grzegorz.

Tu awaria, tam kolejka

Panu Dariuszowi z Łęczycy na myśl o butelkomatach też podnosi się ciśnienie. – Miałem już pełen bagażnik toreb z plastikowymi butelkami, wciąż dochodziły nowe, a nie miałem gdzie oddać. W tym tygodniu oddałem je w jednej z Biedronek, gdzie automat działał. Wcześniej jednak wykonałem po marketach pięć kursów samochodem na diesla, więc nie wiem czy na tym właśnie ma polegać ekologia – mówi.

Problemy z oddaniem butelek miał też pan Andrzej z Pabianic. – W jednym sklepie w Pabianicach automat zamknięty, bo była „awaria", w drugim okazało się, że „nie przyjmuje butelek". W trzecim automat działał, ale stało przed nim kilkanaście osób, każda z workiem butelek za kilkadziesiąt złotych. Pojechałem do Dino, w którym nie ma automatu i ekspedientki przyjmują butelki ręcznie, i w końcu się udało – relacjonuje.

Pan Andrzej zwraca uwagę na problemy z czystością: – Przed automatami ciągle coś jest rozlane, pracownicy sklepów nie nadążają ze sprzątaniem. Problemem są też butelki z resztkami napojów w domach. Już myślę o tym, jak latem do takich butelek będą zlatywać się muchy.

Pracownicy marketów też nie kochają systemu kaucyjnego. Dla nich obsługa automatów to dodatkowy obowiązek i konieczność wysłuchiwania skarg klientów. Natomiast mniejsze sklepy w większości butelek nie przyjmują.

– Nie mam miejsca na składowanie butelek, nie chce mi się też wbijać tych butelek do systemu. Na te kilka oranżad i wód mineralnych, które sprzedaję, nie opłaca się tego robić – mówi drobny sklepikarz z Łodzi.

Codzienny absurd życia Polaków

Dystans Polaków wobec systemu kaucyjnego potwierdził opublikowany w marcu sondaż IBRIS dla „Rzeczpospolitej". Wynika z niego m. in., że ponad połowa Polaków (50,5 proc.) ocenia system źle, a prawie połowa (48,1 proc.) w ogóle z niego nie korzysta.

Na to badanie powołali się działacze Konfederacji, którzy w zeszłym tygodniu do biur Koalicji Obywatelskiej w całej Polsce przynieśli worki pełne zebranych opakowań kaucyjnych. – System kaucyjny stał się codziennym absurdem życia Polaków. Polacy zostali zmuszeni do życia jak śmieciarze, którzy na zakupy udają się z workami butelek – mówiła w Łodzi Paula Poreda z Nowej Nadziei. W biurze KO tak nie myślano – pracownicy odebrali butelki i podziękowali za obywatelską postawę.

System kaucyjny wprowadzono w Polsce w październiku ubiegłego roku, by osiągnąć unijne poziomy recyclingu butelek. Do 2030 roku co najmniej 90 proc. jednorazowych plastikowych butelek i metalowych puszek na napoje powinno trafiać do recyclingu. Te wymagania nie zostały wprowadzone bez powodu. Z jednej strony mają zmniejszyć ilość śmieci, które trudno się rozkładają, z drugiej – zmniejszyć zużycie surowców. Recycling ma też zmniejszyć ilość groźnego mikroplastiku w środowisku – choć butelki nie stanowią jego głównego źródła.

Operatorzy systemu i sklepy podkreślają, że trzeba uzbroić się w cierpliwość, bo system się „dociera" i z każdym miesiącem będzie łatwiej. Parę pomysłów na ułatwienia podsunął pod koniec lutego na IV Kongresie Miast i Biznesu w Pabianicach. Prelegenci przypomnieli, że istnieją takie rozwiązania jak np. montaż przez gminy butelkomatów przy popularnych deptakach czy plażach obok koszy na śmieci.

– Prosimy o cierpliwość. Ten system jest potężny, dotyczy kilkunastu miliardów opakowań. Te opakowania pojawiły się teraz masowo na półkach, wymagają oddania i odbierania przez operatora. Nie wszystkie urządzenia zostały uruchomione, jest dużo zbiórki manualnej, ale z czasem będzie ona zastępowana przez maszyny – mówiła nam podczas kongresu Magdalena Markiewicz, prezes zarządu spółki PolKa Polska Kaucja, która jest jednym z operatorów systemu.

Wracają zbieracze surowców wtórnych

Tymczasem Polacy powoli przyzwyczają się do systemu kaucyjnego, a niektórzy nawet się z niego cieszą. Do Łodzi po wielu latach wrócili zbieracze surowców wtórnych ze śmietników, których Polska ćwierć wieku temu poznała za sprawą filmu „Edi". Osoby grzebiące w śmietnikach – dziś już zwykle w jednorazowych rękawiczkach – można codziennie spotkać na przystanku Piotrkowska Centrum, a także na wielu osiedlach w całej Polsce.

Rekordziści zbierają naprawdę ładne pieniądze. Obecny rekord należy do klienta z Wrocławia, który w marcu przyniósł do tamtejszej Biedronki… 807 opakowań i otrzymał voucher na zakupy za 403,50 zł. To jednak prawdopodobnie nie koniec, bo rekordy zwrotów z miesiąca na miesiąc rosną.

Biedronka, która przekroczyła w marcu liczbę 2000 czynnych butelkomatów, zapewnia, że butelki zwrotne przyjmowane są we wszystkich sklepach, choć okresowo w czasie dużego natężenia ruchu automaty mogą być przeciążone. Wśród powodów są też te powstające z winy klientów, np. wkładanie brudnych lub nieopróżnionych opakowań.

– Wszystkie sklepy Biedronka, w których sprzedawane są produkty objęte systemem kaucyjnym, prowadzą ich zbiórkę – zarówno w sposób automatyczny (recyklomaty), jak i manualny (recykloboksy), w zależności od etapu wdrożenia danego rozwiązania oraz uwarunkowań lokalnych – zapewniał nas kilka tygodni temu Leszek Dąbrowski, młodszy menedżer ds. relacji instytucjonalnych w sieci Biedronka.

Natomiast na problem zapchanych automatów jest proste rozwiązanie, o którym mało klientów wie. Każdy sklep o powierzchni ponad 200 mkw. musi przyjąć butelki, a automat jest tylko jedną z opcji. „Jeśli butelkomat nie działa, nie rezygnuj ze zwrotu. Sklep, który ma ustawowy obowiązek przyjmowania opakowań i zwrotu kaucji, powinien przyjąć je również poza automatem i wypłacić należną kwotę" – radzi rządowy portal gov.pl.

Tą samą radę podpowiedziała nam Biedronka. – W czasie wyłączenia urządzeń z użytku klienci mogą zwrócić opakowania bezpośrednio w sklepie – przy kasach. Obsady sklepów zostały ponownie poinformowane o obowiązku zapewnienia takiej możliwości w przypadku awarii automatu – zapewnia Leszek Dąbrowski.

eprasa.pl 2cd4587c73

Kosmiczna puszka z Poznania

Stworzyli minisatelitę, urządzenie, które służy do badań i eksperymentów kosmicznych. Licealiści z Poznania są gotowi na podbój kosmosu

Emilia Ratajczak

Szóstka licealistów z Poznania i doktor z Politechniki Poznańskiej. Razem zbudowali miniaturowego satelitę, który jest wielkości puszki. Chcieli podbić kosmos (albo chociaż atmosferę), do finału konkursu Europejskiej Agencji Kosmicznej jednak nie udało im się dojść, ale jak mówią: „doświadczenia nikt nam nie zabierze".

Piotr Sokólski (w zespole odpowiada za oprogramowanie i system telekomunikacji) z Erykiem Frąckowiakiem (lider zespołu, koordynacja pracy, elektronika) chodzili razem do szkoły, później Piotr szkołę zmienił.

– Eryk jako pierwszy ten konkurs znalazł, jakoś w wakacje pomiędzy 3 a 4 klasą liceum. Powiedział, że jest taka inicjatywa i zaczęliśmy się zastanawiać, kogo jeszcze znamy, kto byłby chętny, żeby wziąć w nim dział – mówi Maciej Wawrzynowicz (analiza danych i promocja).

Luka French (mechanika, design 3D puszki) i Amelia Mróz (mechanika, recovery system) znają się z Piotrem z jego nowej szkoły. Jednego Piotra Eryk zna ze ścianki wspinaczkowej, drugiego (Sulikowskiego – misja dodatkowa, elektronika) – z liceum, gdy chodził z nim do klasy. Maciej jest jego kolegą od dzieciństwa. A więc wszystko kręci się wokół Eryka.

– Interesuję się kosmosem i wiążę z tym swoją przyszłość – mówi. – Zobaczymy, jak ta droga się potoczy, taki konkurs może być dobrym punktem startowym. Ale każdy z nas tutaj ma jakieś zainteresowania związane z inżynierią czy programowaniem. Może niekoniecznie z branży kosmicznej, ale jakaś zajawka jest – mówi Eryk.

Ejber rusza na podbój

Tak powstał zespół EYBERS.

– Nazwa się wzięła od słowa w poznańskiej gwarze – ejber. A to znaczy łobuz, awanturnik. Z racji, że jesteśmy z Poznania, postanowiliśmy wykorzystać coś z lokalnej gwary. I na podstawie tego słowa chcieliśmy rozwinąć jakoś skrót. Jak po angielsku zapiszemy to jako „eybers", to wychodzi taki akronim, czyli Enthusiastic Youth Bravely Exploring Ray Secondaries, który opisuje naszą misję dodatkową i nas samych – mówi Maciej.

Na czym polega konkurs?

– Ten satelita musi spełnić dwie misje. Misja podstawowa polega na przesłaniu danych drogą radiową za pomocą tej anteny, czyli drutu miedzianego o długości kilkunastu centymetrów – pokazuje Maciej. – Na Ziemi podczas startów mamy inną antenę – typową, dużą, która jest podpięta do laptopa. Odbieramy nią sygnał, tam są przesyłane dane atmosferyczne – temperatura, ciśnienie i GPS.

Misja dodatkowa polega na wykrywaniu mionów, czyli cząsteczek elementarnych powstających w atmosferze Ziemi w wyniku zderzeń promieniowania kosmicznego. Mogą docierać aż do powierzchni planety. Eryk uważa, że wykrywanie mionów (które sami sobie wybrali) poniekąd definiuje ich zespół.

Rozmiar satelity też nie jest przypadkowy. Został narzucony przez regulamin konkursu. Masa całej puszki nie może przekraczać 350 gramów. Wymiary też muszą być jak najmniejsze, aby podczas finału konkursu sześć takich puszek mogło zostać włożonych do rakiety, zostaną wyniesione na wysokość ok. 2,5 km.

– Stąd też się wzięła nazwa konkursu – CanSat, czyli puszka (can) i satelita (satelite) po angielsku – mówi Maciej. – Taka gra słów.

Wszystko zaczęło się w czerwcu. Od tamtej pory młodzi poświęcają na pracę przy puszce nawet kilka godzin tygodniowo (około 6-7 godzin).

– Kiedy były terminy oddania raportów, to zdarzały się nam sesje nawet 12 godzin pod rząd – mówi Maciej.

Raporty do oddania były trzy. Konkurs organizowany przez Europejską Agencję Kosmiczną skierowany jest do grup licealistów. Polskim organizatorem jest Centrum Nauki Kopernik.

Podzielony jest na trzy etapy: PDR, CDR oraz FDR. Pierwszy z nich to moment, w którym grupy zgłaszają się do wyzwania, dowiadują się o początkowych wymaganiach i przygotowują raport, w którym opisują swoją wizję na projekt oraz podział zadań w zespole. Drugi etap obejmuje projektowanie prototypu (oraz napisanie obszernego raportu obejmującego to, w jaki sposób to działa, opis współpracy oraz analizę danych i technikalia), na podstawie trzeciego raportu organizatorzy wybierają finalistów, a tam – rakieta wyniesie puszkę w stronę kosmosu. O zakwalifikowaniu się do finału decydował trzeci raport, wszystkie pisane są w języku angielskim.

W Polsce do pierwszego etapu zgłosiło się 130 drużyn, do drugiego przeszło 28, w tym EYBERS (jako jedyna drużyna z Wielkopolski). 6 zespołów z 28 weszło do ogólnopolskiego finału konkursu. EYBERS znaleźli się poza finałową stawką. Wyniki ogłoszono na początku kwietnia.

Jednym z komponentów potrzebnych do zbudowania mikrosatelity są detektory, zaprojektowane przez nich na podstawie rozwiązań użytych w Cosmic Watch, wypożyczonych z Narodowego Centrum Badań Jądrowych. Oryginalne są jednak za duże na puszkę. Młodzi musieli wykonać ich małe wersje, by mogły zmieścić się do puszki.

– To jest urządzenie, którego zadaniem jest zebranie informacji o mionach, które powstają wskutek promieniowania kosmicznego w górnych częściach atmosfery. Docierają do powierzchni Ziemi, chcieliśmy zebrać jak najwięcej informacji na ich temat. Dzięki temu, że w środku puszki są dwa takie urządzenia, które połączone w trybie koincydencji, czyli oba detektory działają jednocześnie, możemy wykryć miony i odsiać szum, który może zakłamać dane – tłumaczy Maciej.

Piotr opowiada, że same złożenie detektorów było dość skomplikowane, scyntylatory trzeba było sprowadzić ze Stanów Zjednoczonych. Proces ten był kosztowny i długotrwały.

– Stwierdziliśmy, że na potrzeby naszej misji zaprojektujemy również własną płytkę do elektroniki – mówi Piotr. – Były przy tym problemy, bo trzeba było zmieniać wersje, ale udało się nam – odpowiada drugi Piotr.

Na przestrzeni czasu zmieniały się też założenia.

– Samo urządzenie wyłapujące miony przeszło od jesieni kilka rewizji. W fizyce dużo się dzieje – twierdzi dr inż. Dariusz Janiszewski, mentor zespołu. – Grupa wybrała sobie bardzo ambitne zadanie, zarówno od strony fizycznej, jak i naukowej. Przeszliśmy przez kilka wersji tego urządzenia, a niespełna miesiąc temu stworzyliśmy nowszą wersję na najnowszym z opracowań, które powstało w MIT. Jesteśmy na bieżąco.

Mentor poszukiwany

Licealiści chodzą do czterech różnych szkół, dlatego nauczyciel fizyki jako mentor całej grupy odpadał. Chcieli poprosić kogoś z zewnątrz. Kontakt do dr. Janiszewskiego Eryk znalazł w internecie, przygotował mail, ale później przypadkiem okazało się, że zna go koleżanka jego mamy.

– Rozmawiała z Erykiem. Zapaliła jej się lampka, że zna na politechnice kogoś, kto zajmował się kosmosem. Spotkaliśmy się raz, Eryk był bardzo wystraszony – śmieje się doktor. – Później spotkaliśmy się z całą grupą, tutaj. To bardzo zdolna młodzież.

Młodzi oprócz godzin pracy przy mikrosatelicie, przygotowują się również do matury. Podejdą do niej w tym roku.

– Bardzo ich za to podziwiam, jest kupa roboty – mówi dr inż. Janiszewski.

– Gdybyśmy się tym nie interesowali, to dużo ciężej byłoby doprowadzić ten projekt do tego miejsca. W szkole nas takich rzeczy nie uczą. Wiedza, którą włożyliśmy w tę puszkę, oczywiście z pomocą pana profesora, to tylko tak naprawdę kwestia poświęcenia wolnego czasu – mówi Maciej.

– Naprawdę dużo się od siebie nauczyli. Dawno nie widziałem takiego zdyscyplinowania. Nawkurzali się na siebie trochę – śmieje się dr Janiszewski. – Ale siedzieli nocami, żeby dokończyć prace. Wróżę im dużą karierę.



FOT. WALDEMAR WYLEGALSKI

Luka French, Amelia Mróz, Maciej Wawrzynowicz, Eryk Frąckowiak, Piotr Sokólski, Piotr Sulikowski i dr Janiszewski

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

CAŁE ŻYCIE W CYRKU. MIĘDZY ARENĄ A PRZYCZEPĄ KEMPINGOWĄ

Wielka arena, widowiskowe show, klauni, akrobaci, iluzjoniści i tłumy widzów – a za kulisami codzienność w trasie i życie w przyczepie kempingowej. Odwiedziliśmy cyrk, zajrzeliśmy za kulisy i sprawdziliśmy, jak naprawdę wygląda życie artystów

Marta Jarmuszczak



– Klaunada wybiera człowieka, a nie człow

Niech pierwszy rzuci kamieniem, kto nigdy nie powiedział: „Kto pracuje w... (i tu wstawiamy nazwę zakładu pracy), ten się w cyrku nie śmieje". I my nie jesteśmy wyjątkami. Ale... z okazji przypadającego 18 kwietnia Światowego Dnia Cyrku poznaliśmy prawdziwych klaunów w prawdziwym cyrku.

Pod namiotem jak dziecko

Wielki namiot, a w środku zapach popcornu, mnóstwo ludzi i klaun, witający, wchodzących do środka gości. Zostały ostatnie minuty do rozpoczęcia widowiska. Ostatni widzowie zajmują miejsca, a na środku pojawiają się akrobaci, klauni i wszyscy artyści, z dyrektorem, Kamilem Zalewskim na czele, który zapowiada całe widowisko i komunikuje, że „arena jest wolna".

Wtedy zaczyna się przedstawienie.

Na początku artyści zaprezentowali część „Podniebne Wahadło". Nie zabrakło adrenaliny, kiedy akrobata z kolumbijsko-brazylijskiego duetu jakby potknął się na szczycie wahadła, kilkanaście metrów nad ziemią... Czy było to planowane, czy nie - dostarczyło pierwszych silnych emocji.

- Chcemy, żeby pod namiotem wszyscy czuli się jak dzieci - nawet osoby dorosłe. Pragniemy, by nasi widzowie poczuli tę magię i wracali do swoich wspomnień z dzieciństwa, do chwil, gdy rodzice prowadzili ich do cyrku - mówi Kamil Zalewski, dyrektor Cyrku Zalewski. - Proces doboru artystów wygląda tak, że otrzymujemy wiele ofert z całego świata i wybieramy najbardziej atrakcyjne propozycje, aby zapewnić naszym widzom spektakl na najwyższym poziomie.

W przerwach między występami akrobatycznymi, swój program prezentowali klauni - Eddie z Czech i Bartolini z Polski. To właśnie oni szczególnie trafili do dzieci, których reakcje były zaskakujące, ponieważ z każdym gestem klaunów wiązała się salwa dziecięcego śmiechu.

„Klaunada wybiera człowieka, a nie człowiek klaunadę"

Osoby wcielające się w klaunów posiadają szczególne predyspozycje - tego nie da się po prostu nauczyć. Można więc odnieść wrażenie, że klaunem trzeba się urodzić.

I jak przyznała w luźnej rozmowie z nami żona dyrektora cyrku, to właśnie praca klauna jest jedną z najtrudniejszych. Klauni muszą się bowiem liczyć z różnymi reakcjami publiczności. Nie zawsze zgodnymi z oczekiwaniami.

- To klaunada wybiera człowieka, a nie człowiek klaunadę. U mnie zaczęło się to przez przypadek - mówi Bartek, twórca postaci Klauna Bartoliniego, który w tej dziedzinie jest samoukiem.

W społeczeństwie klauni postrzegani są bardzo różnie. Często według stereotypów.

- Dwa najczęstsze to wizerunek klauna z dużym, czerwonym nosem i kolorowymi włosami - oraz jego przeciwieństwo, czyli „straszny klaun", kojarzony choćby z postacią Pennywise - mówi Bartek.

Każdy klaun jest inny i buduje swój sceniczny wizerunek na własnych doświadczeniach.

Bartek, dzięki swojemu niemałemu zapleczu tanecznemu, postawił na step, który stał się jednym z elementów jego cyrkowych występów. Maluje się także w swój charakterystyczny sposób, co zajmuje mu ok. 45 minut. Nie przypomina natomiast stereotypowego klauna z horroru, a na widowisku dzieci zdecydowanie nie bały się ani jego, ani Klauna Eddiego.

- Szczerze mówiąc, nie do końca rozumiem i nie przepadam za tymi uproszczeniami. Czy naprawdę trzeba mieć czerwony nos, wielkie buty i barwną perukę, żeby być zabawnym? Przecież w codziennym życiu spotykamy ludzi - w pracy czy wśród znajomych - którzy potrafią rozbawić innych do łez, a często mówi się o nich, że mogliby pracować w cyrku jako klauni - przyznaje Bartek. - Temat klauna i klaunady jest zresztą tak szeroki, że można o nim napisać niejedną pracę doktorancką, a nawet stworzyć osobną dziedzinę, coś w rodzaju „klaunologii" - mówi.

Po widowisku natomiast ekipa techniczna zabrała się za sprawny demontaż areny, a my mieliśmy okazję dowiedzieć się, jak to jest żyć cyrkiem.

Wieczne życie w trasie: sztuka znikania

Cyrk to wyjątkowy świat - nie ma stałej siedziby, a mimo to dociera do szerokiej publiczności w wielu częściach Polski.

Rozstawienie namiotu zajmuje około trzech godzin, a samo widowisko - wraz z przerwą - trwa mniej więcej dwie. Po zakończeniu spektaklu artyści często pozostają na miejscu, by następnego dnia ponownie wystąpić dla publiczności.

Jeśli jednak ruszają dalej, zwinięcie namiotu zajmuje im około dwóch godzin.

- Widzowie są często zdziwieni i pytają: „Jak to robicie - pojawiacie i zaraz znikacie?". Wiele osób sądzi, że rozstawienie namiotu zajmuje tygodnie, a nam wystarcza kilka godzin. To zasługa świetnie zgranej, doświadczonej ekipy, która pracuje sprawnie i szybko. Dzięki temu możemy odwiedzić jak najwięcej miejsc i zaprezentować nasze widowisko jak najszerszej publiczności - mówi dyrektor.

Cała sztuka wiąże się jednak z nieustannym życiem w trasie. Artyści mieszkają w przyczepach, a przez dziewięć miesięcy w roku przemieszczają się z miejsca na miejsce.

Jak przyznaje dyrektor Cyrku Zalewski, wcale im to nie przeszkadza - miłość do cyrku jest tak silna, że nie wyobraża sobie z niego zrezygnować.

- Działamy w takim systemie trasy, że każdego dnia jesteśmy w innym mieście. Codziennie rozstawiamy namiot, dajemy spektakl, pakujemy się i następnego dnia ruszamy dalej. W ten sposób przez 9 miesięcy w roku odwiedzamy ponad 200 miast w Polsce, prezentując około 360 przedstawień - mówi dyrektor.

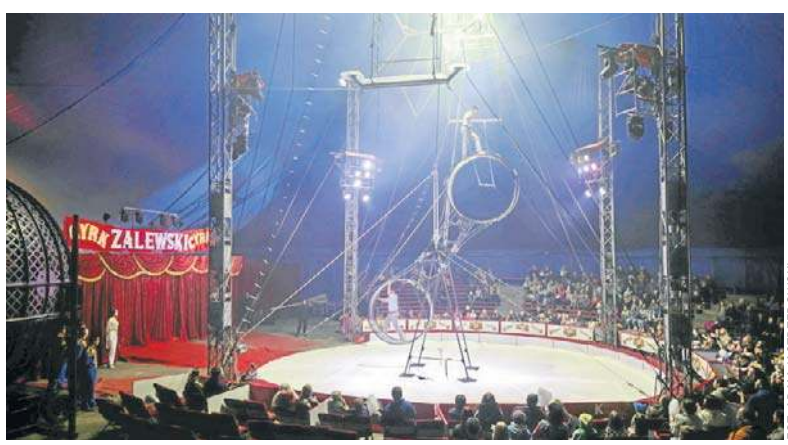
Artyści mieszkają w przyczepach kempingowych i przemieszczają się ciężarówkami. Cała logistyka jest bardzo dobrze zorganizowana - cyrk dysponuje specjalnie przygotowanymi pojazdami, do których pakowane są trybuny, loże i cała infrastruktura dla widowni. Wszystko jest przystosowane do szybkiego montażu i demontażu oraz sprawnego transportu.

- Życie w przyczepie kempingowej nie jest trudne, ponieważ nasze przyczepy są bardzo ekskluzywne. Mamy ogrzewanie, wodę i wszystko, co potrzebne do codziennego funkcjonowania. Najważniejsze jednak, żeby to po prostu kochać - mówi dyrektor.

Jak pokochać cyrk...

Cyrk Zalewski może poszczycić się ponad 30-letnią tradycją. Kontynuuje ją nie tylko dyrektor, wywodzący się z rodziny cyrkowej i występujący również jako iluzjonista, lecz także jego żona Aneta. Choć nie dorastała w cyrkowym środowisku, przyznaje, że szybko je pokochała i wraz z córkami, z których jedna aspiruje na przyszłą akrobatkę, a druga na dyrektorkę, dojeżdża do męża w weekendy.

- Często mówi się, że kto raz spróbuje życia w cyrku, temu trudno jest z niego odejść - i to prawda. Sama nie jestem z rodziny cyrkowej, ale poznałam Kamila podczas wspólnego pokazu iluzji. I faktycznie, jak zaczęłam tutaj być, to z czasem wiedziałam, że jest to moje miejsce i nigdy z niego nie zrezygnuję. Kocham to i czuję się tu naprawdę szczęśliwa - mówi Aneta Zalewska.



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Wielki namiot, a w środku zapach popcornu, mnóstwo ludzi i klaun, witający, wchodzących do środka gości

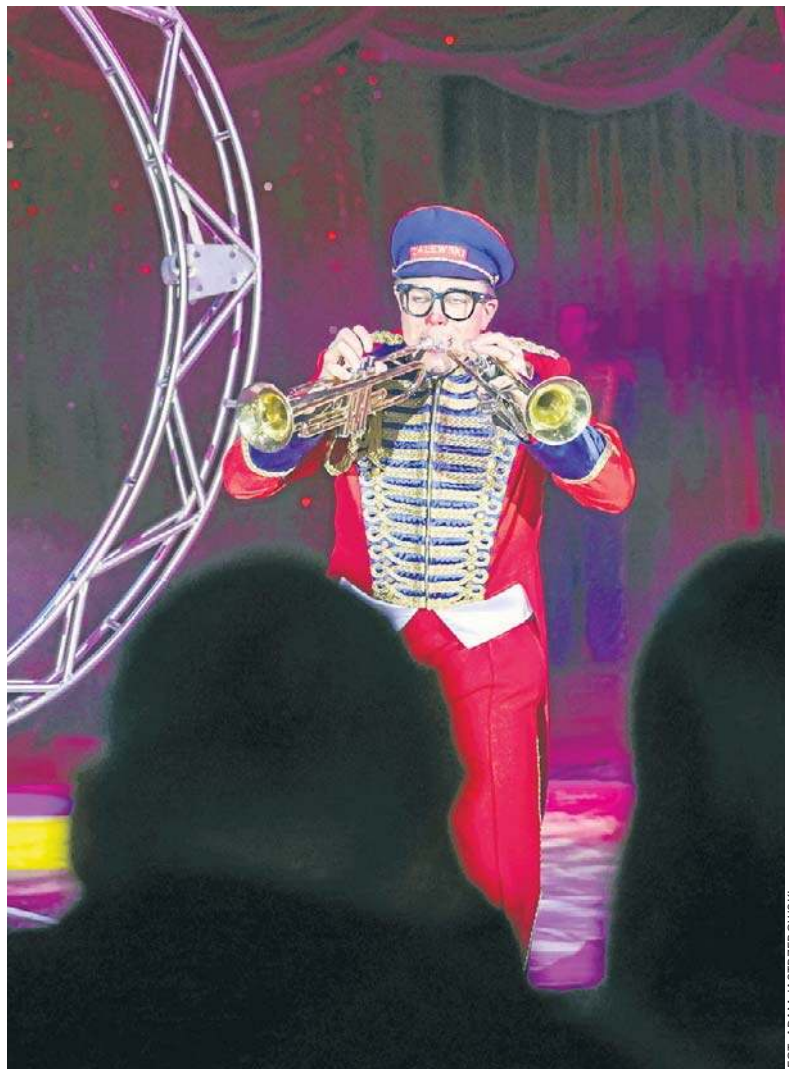
Z CZASEM WIEDZIAŁAM, ŻE JEST TO MOJE MIEJSCE I NIGDY Z NIEGO NIE ZREZYGNUJĘ. KOCHAM TO I CZUJĘ SIĘ TU NAPRAWDĘ SZCZĘŚLIWA

eprasa.pl 2cd4587c73



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

wiek klaunadę – mówił nam Bartek, kreujący rolę Klauna Bartoliniego



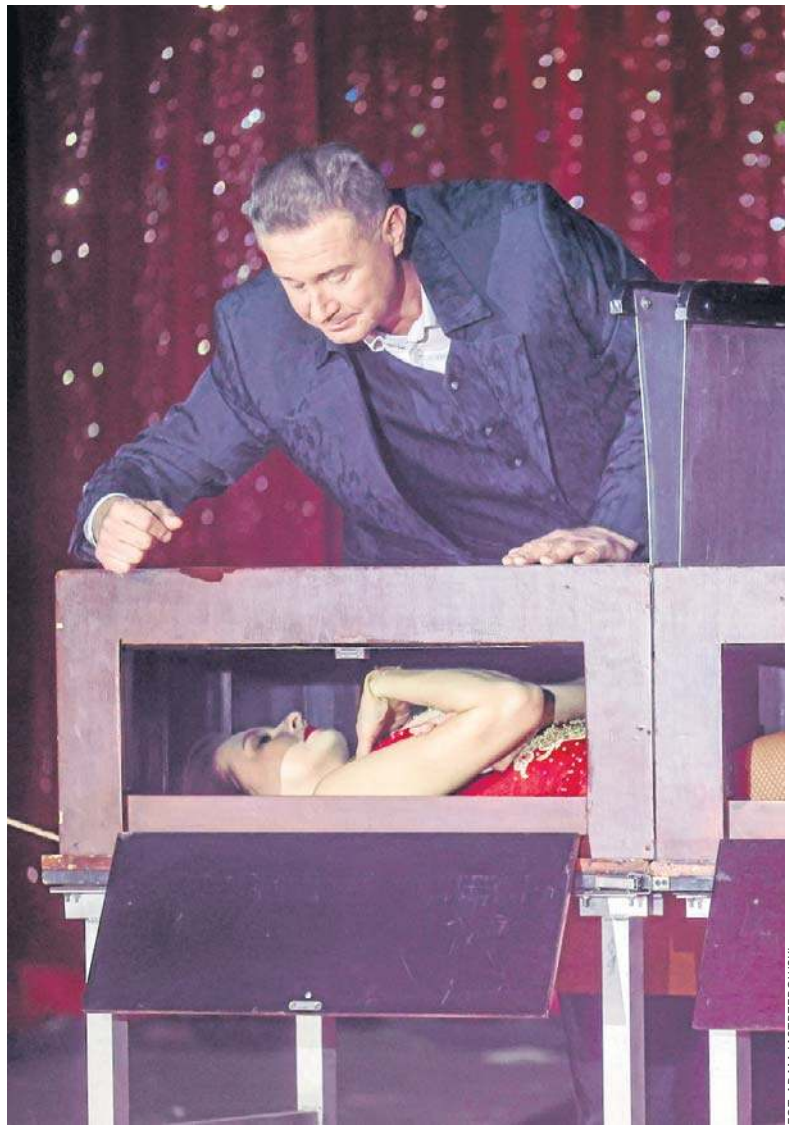
FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Nieodłącznym elementem widowiska jest występ klaunów, który szczególnie przypadł do gustu najmłodszym widzom



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

– Chcemy, żeby pod namiotem wszyscy czuli się jak dzieci – nawet osoby dorosłe. Pragniemy, by nasi widzowie poczuli tę magię i wracali do dzieciństwa – mówi Kamil Zalewski, dyrektor Cyrku Zalewski



FOT. ADAM JASTRZĘBOWSKI

Cyrk Zalewski może poszczycić się ponad 30-letnią tradycją, a sam dyrektor występuje w roli iluzjonisty

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

WŁADEK SIEMIRUNNIJ: WYBRAŁEM POLSKĘ, BYŁA DLA MNIE NAJLEPSZĄ OPCJĄ

Przyjechałem najpierw do Królewca. Jechałem busem i gdy tylko przekroczyłem granicę z Polską, to wszystko inaczej wyglądało. To był inny świat – opowiada Władek Siemirunnij. –- Tomaszów Mazowieckim przypomina mi Kamieńsk Uralski, miasto gdzie mieszka moja babcia. Nie przeszkadza mi, że Tomaszów nie jest wielką metropolią. Lubię małe miasta, sam przecież mieszkałem u babci w Kamieńsku Uralskim. Przypomina te małe, rosyjskie miasta.

Anna Gronczewska

Czy pomyślał pan kiedyś, że dziś będzie mieszkał w Polsce, w Tomaszowie Mazowieckim?
Nie, nawet gdy znalazłem się w kadrze Rosji, to o tym nie myślałem.

Bywał pan wcześniej w Polsce?
Nie, choć Tomaszów Mazowiecki znałem ze słyszenia, bo odbywały się tam mistrzostwa świata juniorów. Ja wtedy nie startowałem, ale brałem udział w takich mistrzostwach organizowanych w innych krajach.

W takim razie skąd wziął się pomysł, by tu się przeprowadzić i występować w biało-czerwonych barwach?
Mówi się, że do tej przeprowadzki przyczynił się trener Paweł Abratkiewicz. On rzeczywiście też pomógł mi po przeprowadzce do Polski. Ale Polskę wybrałem dzięki Konradowi Niedźwieckiemu, medaliście olimpijskiemu i prezesowi Polskiego Związku Łyżwiarskiego. On złożył mi konkretną propozycję. Czekaliśmy jeszcze jak potwierdzi to ministerstwo. Wybrałem Polskę, bo zaproponowała mi najlepsze warunki, z możliwością startu na olimpiadzie.

Polscy działacze i trenerzy wiedzieli, że gdzieś w Rosji istnieje taki Władimir?
Kiedy wysłałem pierwszego e-maila do Konrada Niedźwieckiego, nie wiem czy wiedział kim jestem. Ale napisałem, że byłem mistrzem Rosji, medalistą mistrzostw świata juniorów. Myślę, że moje osiągnięcia mu się spodobały.

Pan pochodzi z Jekaterynburga, znajdującego się we wschodniej części Rosji. Jakie to miasto?
Takie jak Warszawa. Warszawa ma chyba 1,9 miliona mieszkańców, w Jekaterynburgu mieszka 1,5 miliona ludzi. To wielkie rosyjskie miasto, czwarte co do wielkości. Leży na granicy między Europą a Azją, po wschodniej stronie Uralu. Nie ma w nim za dużo zabytków, Starego Miasta jak w Warszawie. To bardziej przemysłowe miasto. Jest pałac, wybrukowane ulice, którymi nie pojedzie się szybciej niż 30 kilometrów na godzinę. Ale generalnie takiej starej części miasta nie ma.

Jakie było pana dzieciństwo?
Do szóstego roku życia mieszkałem w Kamieńsku Uralskim. To takie miasto jak Tomaszów Mazowiecki. Mieszkałem tam z babcią i dziadkiem. Babcia żyje, dziadek, niestety, już nie. Ta sytuacja wynikała z tego, że mama miała problemy z mężem, czyli moim biologicznym ojcem. Nie mogłem z nią mieszkać. W Kamieńsku Uralskim chodziłem do żłobka, przedszkola. Mama przyjeżdżała do mnie co tydzień, ale nie miała warunków finansowych, byśmy mogli mieszkać razem. Kiedy miałem sześć lat, sytuacja zmieniła się na tyle, że wróciłem do mamy i zamieszkałem z nią w Jekaterynburgu. Biologiczny ojciec pewnie też tam mieszka, ale nie mamy kontaktu. Mimo tego wszystkiego miałem dobre dzieciństwo.

Czym zajmuje się pana mama?
Jest nauczycielką, uczy matematyki. Myślę, że dziś, po medalu olimpijskim, jest zadowolona, że postawiłem na sport. Już po tym jak zdobyłem medal na mistrzostwach Rosji, powiedziała: Dobry jesteś w tym sporcie! Wcześniej chciała, bym poszedł na studia.

W pana rodzinie były tradycje sportowe?
Nie, w mojej rodzinie nie było sportowców. Babcia pracowała w banku, dziadek był inżynierem, pradziadek, tak jak mama, nauczycielem. Taka inteligencka rodzina, w której znalazł się jeden sportowiec, czyli ja.

W MOJEJ RODZINIE NIE BYŁO SPORTOWCÓW. BABCIA PRACOWAŁA W BANKU, DZIADEK BYŁ INŻYNIEREM, PRADZIADEK, TAK JAK MAMA, NAUCZYCIELEM.

A pana ojczym czym się zajmuje?
Pracuje w branży IT. Nie pamiętam kiedy zaczęliśmy mieszkać w trójkę. Miałem 10 czy 12 lat. Zacząłem do niego mówić „tata”, gdy przeprowadziłem się do Polski.

A jak pan do niego mówił?
Po prostu Paweł. Jest dla mnie jak ojciec.

Skoro nie było w pana rodzinie tradycji sportowych, to jak to się stało, że zaczął pan uprawiać łyżwiarstwo?
Mama zapisała mnie na karate, ale nie za bardzo mi się podobało. Wtedy powiedziała, że albo będę chodził na karate, albo poszuka mi innego sportu. A jeśli nie będę chciał dalej trenować, to mam się bardzo mocno uczyć. W dodatku wstrzymała mi pieniądze na bułeczki w szkole i ograniczyła oglądanie telewizji. Przez pół roku tylko się uczyłem. Ale pewnego dnia przyszedł do naszej szkoły, jak się potem okazało, mój pierwszy trener, Piotr Liwtajew. Zapytał kto chce uprawiać łyżwiarstwo szybkie. Pomyślałem, że jak się zgłoszę, to mama zwróci mi pieniądze na bułeczki. Nie wiedziałem, co mnie tam czeka. Na początku na treningach było bardzo fajnie. Graliśmy w hokeja, w piłkę, jeździliśmy na rolkach.

A na łyżwach?
Na łyżwach też, ale to była bardziej zabawa. Miałem 9 czy 10 lat, gdy pierwszy raz założyłem łyżwy. Mówiono na nie „żelazko”, bo naprawdę wyglądały jak żelazko.

Mama była zadowolona, że uprawia pan sport?
Mamie zależało, bym miał co robić po lekcjach, by nie przychodziły mi do głowy żadne głupoty. Dziś dziękuję jej za to. Teraz nawet nie gram w gry na komputerze. Z czasem przyszły sukcesy w łyżwiarstwie szybkim. Miałem 15 lat, gdy zdobyłem medal na juniorskich mistrzostwach Rosji. Potem w młodzieżowych mistrzostwach byłem drugi w „mastersie”, czyli biegu masowym. Byłem bardzo szczęśliwy, myślałem, że nie będę musiał już chodzić do szkoły, bo przecież jestem gwiazdą. Wtedy tata powiedział mi: Patrz, tutaj chłopak wygrał od razu trzy dystanse, a ty byłeś tylko drugi, jeszcze w jakimś „mastersie”. Byłem wtedy w dziewiątej klasie, dwa lata przed maturą. Słowa taty dotarły do mnie, wziąłem się mocno za książki, za naukę.

Co miało decydujący wpływ na to, że przyjechał pan do Polski. Wszyscy mówią dziś, że powodem był wybuch wojny Rosji z Ukrainą.
To było jeszcze dwa miesiące przed wybuchem wojny, w 2022 roku. Miałem już medal mistrzostw świata juniorów. W Rosji nie było problemu z przebiciem się, a ja lubię konkurencję. Źle wyglądały za to przygotowania, szukałem innego wyjścia, jeśli dalej miałem startować. Chciałem, by konkurencja była jeszcze większa. Napisałem do jednego holenderskiego klubu. Oni odpisali mi, że biorą Holendrów, ewentualnie jakichś młodych chłopaków. A ja miałem już 19 lat. Potem wybuchła wojna Rosji z Ukrainą. Strasznie to wyglądało. Tata tłumaczył mi, że jeśli wyjadę z kraju, to będzie bilet w jedną stronę i muszę dobrze przemyśleć decyzję.

Rozmawiał pan o tym z rodzicami?
Bardzo dużo. Miałem propozycję z Kazachstanu, ale tata poradził mi, bym tam nie jechał. Nie odpowiedzieli mi konkretnie na żadne pytanie. Na przykład jak wyglądałaby sprawa z obywatelstwem, przygotowaniami, obozami. A jak napisałem do Konrada Niedźwieckiego, dostałem konkretne odpowiedzi na wszystkie pytania. Wybrałem Polskę. Była dla mniej najlepszą opcją.

Nie było panu przykro, że zostawia rodziców i nie wiadomo kiedy ich zobaczy?
Na pewno mnie i rodzicom było przykro. Ale z drugiej strony byli zadowoleni, że mam szansę na lepsze życie. Rodzice mi zawsze pomagali, wspierali mnie. Już wcześniej mówili, bym szukał szczęścia gdzieś bliżej Europy, bo tam jest lepsze życie.

Gdyby pan został w Rosji, to pewnie nie wystartowałby na mistrzostwach świata, igrzyskach, nie byłoby olimpijskiego medalu...

eprasa.pl 2cd4587c73



FOT. MAREK OBSZARNY

Władek Siemirunnij po zdobyciu srebrnego medalu olimpijskiego marzy o Pucharze Świata

Zgadza się. Na sto procent nie byłoby tego srebrnego medalu olimpijskiego.

Pamięta pan swój pierwszy dzień w Tomaszowie Mazowieckim?
Przyjechałem najpierw do Królewca. Jechałem busem i gdy tylko przekroczyłem granicę z Polską, to wszystko inaczej wyglądało. To był inny świat. Fajne budynki. Tomaszów Mazowiecki przypominał mi Kamieńsk Uralski, miasto, gdzie mieszka moja babcia. Nie przeszkadza mi to, że Tomaszów nie jest wielką metropolią. Lubię małe miasta, sam przecież mieszkałem u babci w Kamieńsku Uralskim. Przypomina te małe, rosyjskie miasta. Też są takie pięciopiętrowe budynki, bloki.

W Tomaszowie Mazowieckim nie ma pan swojego mieszkania. Mówił pan, że chce wybrać polskie miasto, w którym zamieszka na stałe. Dokonał pan wyboru?
Nie wybrałem miasta. Na razie się rozglądam. A w Tomaszowie dobrze się czuję. Mieszkam w wynajmowanym mieszkaniu. Najpierw zamieszkałem w pokoju, który wynajął mi związek, który za wszystko płacił. Mieszkałem wtedy przy restauracji „Janosik". Ale się stamtąd wyprowadziłem i sam wynajmuję mieszkanie.

Ma pan w Tomaszowie wielu znajomych, przyjaciół?
Moimi przyjaciółmi są koledzy z kadry, z klubu Pilica Tomaszów Mazowiecki. Z nimi spędzam najwięcej czasu. Ostatnio byłem na wakacjach w Elblągu u mojego przyjaciela z kadry Marcina Bachanka.

A skąd pochodzi pana dziewczyna Klaudia?
Z Tomaszowa, ale teraz mieszka w Łodzi, bo tam studiuje. Poznaliśmy się w Tomaszowie. Jest siostrą mojego przyjaciela Mikołaja Bielasa, który jest w kadrze młodzieżowej polskich panczenistów. Poszedłem na „domówkę" i tam ją poznałem. Zaczęliśmy się spotykać.

Nie mieszka pan długo w Polsce, ale dobrze mówi po polsku...
Żałuję, że wcześniej nie zacząłem się uczyć, bo mój polski brzmiałby jeszcze lepiej. We wrześniu miną trzy lata jak przyjechałem do Polski.

Pana rodzice byli u pana w Polsce?
Nie, bo nie mogą dostać wizy. Polska daje ją obywatelom Rosji tylko w wyjątkowych przypadkach.

Czyli nie widział pan rodziny od trzech lat?
Spotkałem się z mamą w Rzymie, bo Włosi dają wizy Rosjanom. Było to półtora roku temu. Ja do Rosji nie mogę wrócić, bo tam czeka na mnie bilet do wojska. Taty nie widziałem, ale obiecał, że wyrobi sobie paszport. Razem z mamą zwiedziłem Rzym, robiliśmy po 40 tysięcy kroków dziennie. Było bardzo gorąco, 35-40 stopni Celsjusza.

Po zdobyciu srebrnego medalu olimpijskiego zaraz zadzwonił pan do rodziców..
Mama nie odebrała, telefon był zajęty, bo dzwonili do niej znajomi z gratulacjami. Zadzwoniłem do taty i on odebrał. Bardzo się cieszyli z mojego sukcesu. Krzyczeli i skakali, kiedy byłem na torze. Potem wyczekiwali na ogłoszenie końcowych rezultatów. Do Polski przyjechała znajoma z Białorusi i przez nią przekazałem rodzicom moje olimpijskie stroje. Wysłałem im też medale z mistrzostw Polski.

Czekanie na przyznanie polskie obywatelstwo było najgorszym momentem w pana życiu?
Rok po przeprowadzce do Polski kończyła mi się wiza, która dawała mi możliwość starania się o obywatelstwo i kartę stałego pobytu. Pojawiło się zagrożenie, że będę musiał wracać do Rosji po wizę. Bardzo bałem się wracać do Rosji, bo tam czekało na mnie wezwanie do wojska. Drugą opcją było to, że dokumenty na kartę pobytu załatwię online, ale nie mogłem opuszczać terytorium Polski. Kadra wyjeżdżała na zagraniczne obozy, a ja siedziałem sam w Tomaszowie. Wtedy bardzo pomógł mi trener Roland Cieślak i klub Pilica Tomaszów Mazowiecki. Skorygowali mój plan treningów, ale był to ciężki czas.

Polska usłyszała o Władymirze Siemirunnym, gdy zdobył pan srebrny i brązowy medal w mistrzostwach świata. Startował pan w polskich barwach, ale jeszcze nie miał obywatelstwa...
Pokazałem, że można dla Polski zdobywać medale nie tylko w biegach sprinterskich, ale też długodystansowych. Ludzie zaczęli emocjonować się tymi biegami. Kiedy dostałem polskie obywatelstwo, kamień spadł mi z serca, wiedziałem, że mam szansę wystąpić na olimpiadzie. Trochę żałuję, że nie zdobyłem kwalifikacji w biegu na 5 tysięcy metrów. Na tym dystansie zdobyłem brązowy medal na mistrzostwach świata. Stało się tak, bo bardzo źle pojechałem w pierwszym Pucharze Świata. Zrobimy z trenerem korekty w treningu i od początku powinno być dobrze. Jeszcze nigdy nie wygrałem biegu w Pucharze Świata, chciałbym to zmienić.

Oprócz łyżwiarstwa pana pasją jest jazda na rowerze.
Tak, ale jest to element pomagający w treningu. Myślę, by wystartować w kolarskich „czasówkach", nawet w Mistrzostwach Polski. Czech Metodej Jilek, który na olimpiadzie zdobył złoto w biegu na 10 tysięcy metrów, latem jeździ na rolkach, startuje w zawodach. Ja nie umiem dobrze jeździć po wrotkarsku. Wolę rower. Jazda na nim jest dla mnie znakomitą formą przygotowań do sezonu.

Podobno medalu na igrzyskach mogło nie być, bo komuś nie spodobał się pana kask?
Było to dziwne. Startowałem w nim przez cały sezon i nikomu ten kask nie przeszkadzał. Dwa dni przed startem Holendrzy chodzili i robili zdjęcia mojego kasku. Podszedł do mnie trener Metodeja Jilka i mi o tym powiedział. Bardzo za to dziękuję Czechowi. Holendrzy generalnie są fajni, rozmawiają przed zawodami, ale czasem robią dziwne rzeczy. Może chodzi o urażoną dumę, o to, że zawsze chcą wygrywać? Ja w dzień startu nie lubię jak wokół mnie jest wielu ludzi. Wolę być sam, ze słuchawkami na uszach. Dlatego przed startem na 10 kilometrów zamieszkałem w hotelu, w którym mieszkała Agata Jabłońska, menadżerka naszej drużyny. Stamtąd do hali miałem tylko pół godziny jazdy. I nagle Agata Jabłońska prosi, bym wysłał jej rozmiar kasku, w którym startuję. Okazało się, że Holendrzy zrobili zamieszanie. Nie znałem rozmiaru, ale mam małą głowę, a kaski były produkowane w dwóch: S i M. Wybrałem S. Całą tą sytuacją byłem bardzo zestresowany. Jak masz dobrą nogę, to nie ma znaczenia czy startujesz w kasku czy bez. Przyjechał do mnie trener Roland, menadżerka Agata i prezes Konrad. Zabrali kask i pokazali sędziemu. Okazało się, że wszystko jest ok. Dziękuję im, że szybko rozwiązali sprawę.

POJAWIŁO SIĘ ZAGROŻENIE, ŻE BĘDĘ MUSIAŁ WRACAĆ DO ROSJI PO WIZĘ. BARDZO SIĘ TEGO BAŁEM, BO TAM CZEKAŁO NA MNIE WEZWANIE DO WOJSKA.

Co pan jeszcze lubi oprócz łyżew i roweru?
Słucham dużo muzyki. Nie tylko przed startem. Jest to głównie techno. Czasem włączę polski rap. Gdy idziemy na siłownię, to biorę głośnik i wybieram muzykę. Koledzy śmieją się, by nie było to tylko techno.

Nie nudzi się pan w Tomaszowie?
Jest spoko. Blisko mam Warszawę, Łódź, gdzie studiuje Klaudia. Jak mam jeden wolny dzień w tygodniu, a zwykle jest to niedziela, to leżę na kanapie lub jadę gdzieś napić się kawki. Od poniedziałku znów trenuję.

Smakuje panu polskie jedzenie?
Jest super! Lubię czerwony barszczyk, kotlet schabowy. Ostatnio próbowałem zupę ogórkową. Była bardzo dobra. Kuchnia polska jest trochę podobna do rosyjskiej, ale ta jest mniej tłusta. W Rosji je się też naleśniki, pielmieni, czyli pierogi.

Medal olimpijski sprawił, że stał się pan znaną osobą. Nie męczy pana popularność?
Nie męczy, a nawet mi się podoba. Nie ma problemu, gdy ktoś chce zrobić sobie ze mną zdjęcie, wziąć autograf.

Jakie ma pan plany?
To przede wszystkich udział w mistrzostwach świata w Chinach. Jak już wspomniałem, chciałbym zdobyć Puchar Świata.

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

Kiedy Norbert miał cztery lata, lekarze powiedzieli, że nie ma szans na wyjście z choroby. A jednak wyszedł. Dwukrotnie walczył z białaczką, dwukrotnie potrzebował dawcy szpiku kostnego i dwukrotnie znalazł się człowiek, który powiedział „tak". Jego starszy brat Adrian, zawodowy piłkarz, sam zarejestrował się jako dawca szpiku po tym, gdy na szkolnej prelekcji usłyszał historię własnej rodziny i wybiegł z sali, żeby się wypłakać. Dwa lata później zadzwonił telefon... Rozmawiamy z Anetą Piekarską z Suwałk, matką obu chłopców

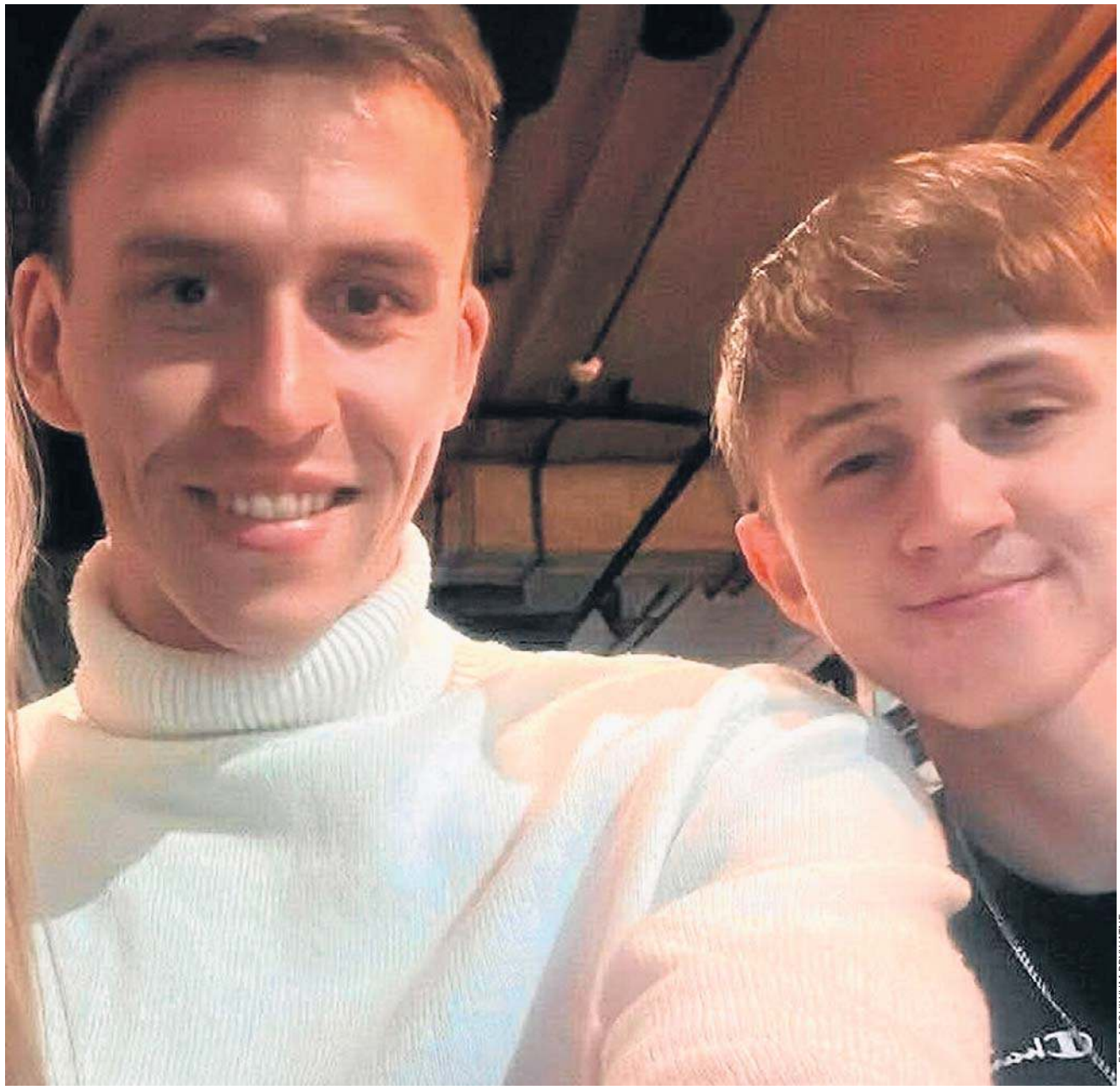
Agnieszka Domanowska

JEDEN Z BRACI DOSTAŁ SZPIK OD OBCYCH OSÓB, DRUGI URATOWAŁ ŻYCIE KOMUŚ INNEMU

Jak zaczęła się choroba Norberta?
Miał cztery latka, zaczął kaszleć. Kaszel stawał się coraz bardziej uporczywy, pojawiły się wybroczyny. Trafiliśmy do szpitala, zrobiono wyniki. Okazało się, że syn zachorował na białaczkę limfoblastyczną typu T. Nikt w rodzinie wcześniej na białaczkę nie chorował. To był grom z jasnego nieba. Mam jeszcze dwóch starszych synów – zostali w domu z tatą, który tak naprawdę nigdy wcześniej nie zajmował się domem ani gotowaniem, a ja pojechałam z Norbertem na oddział.

Leczenie od razu było ciężkie?
Od samego początku. Norbert miał w krwi obwodowej bardzo dużo komórek blastycznych. Cały czas nie było remisji – bardzo długo przyjmował kolejne bloki chemioterapii. To był ciężki okres dla nas wszystkich, bo nic nie mogliśmy zrobić. Jako rodzice nie mieliśmy na nic wpływu. Trzeba było czekać, wierzyć, że medycynie uda się te komórki nowotworowe gdzieś zepchnąć, żeby znikły. Ta nadzieja była najważniejsza. Dużo się modliłam.

W końcu, po tych licznych chemioterapiach, przyszedł czas na przeszczep.
Tak. Norbert był w remisji, był przygotowany. I wtedy pani profesor przekazała mi wiadomość, że dawca, który miał uratować Norberta, wycofał się... Poczułam straszną złość do świata, do ludzi. Jak można się wycofać, gdy wcześniej powiedziało się „tak"? Tym bardziej że chodziło o czterolatka, który przyjął już naprawdę ciężkie bloki chemioterapii. Był gotowy na przeszczep, a tu nagle nic. To się trudno opisuje słowami.



FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

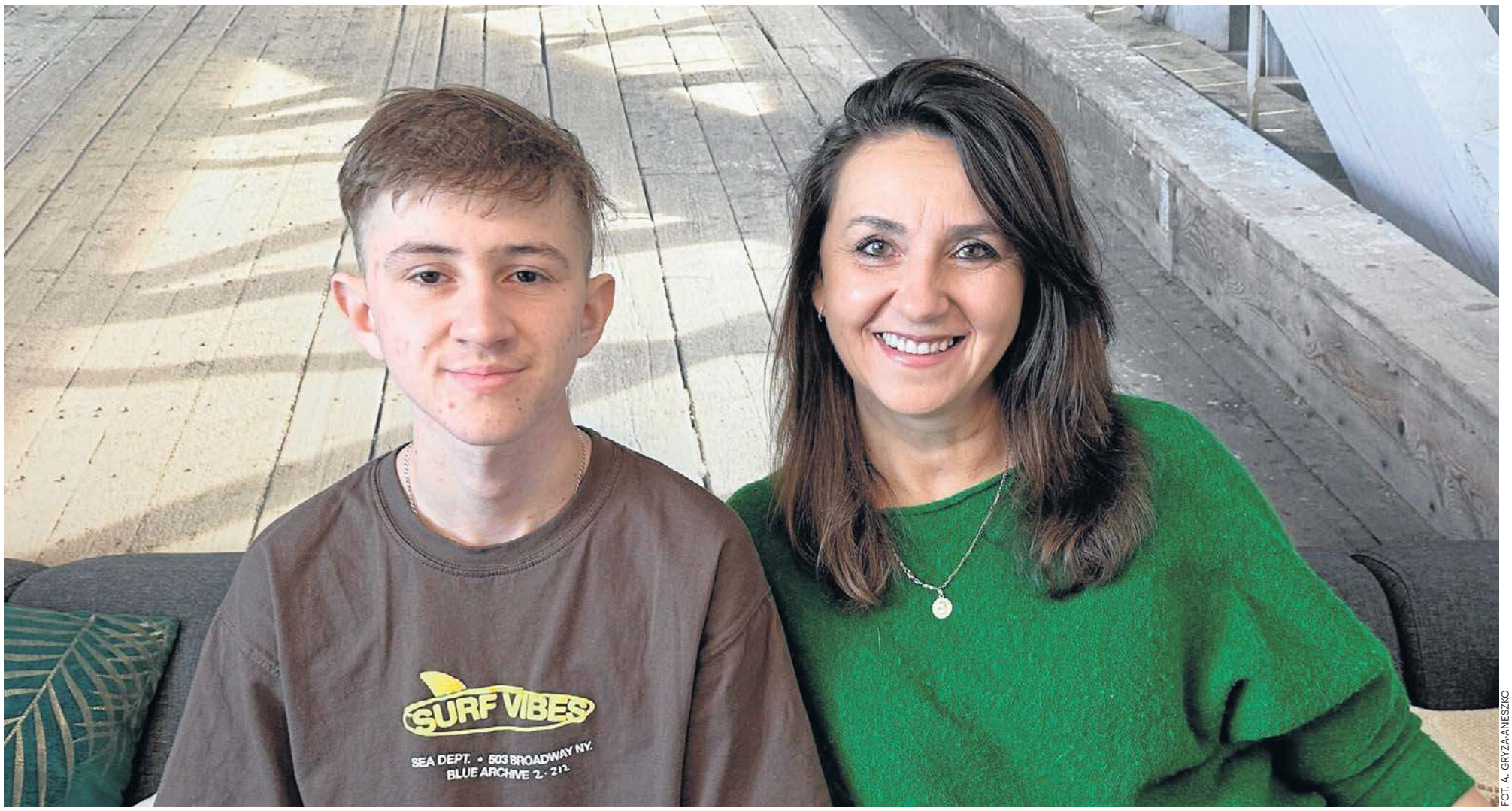
Bracia Adrian i Norbert. Starszy został dawcą szpiku kostnego, młodszy był biorcą

Co się wtedy stało?
Musieliśmy przyjąć następny blok chemioterapii, który bardzo osłabił organizm Norberta. Ale na szczęście jest DKMS [Rejestr Dawców Szpiku Kostnego, międzynarodowe centrum dawców szpiku - przyp. red.] i pojawił się drugi dawca. To był Niemiec, miał wtedy 46 lat, zgodność [tkankowa - przyp. red.] 8 na 10 . Zgodził się. Pojechaliśmy na przeszczep i powiem, że były to najgorsze dni w moim życiu. Przeszczep przeszedł bardzo ciężko. Dwa i pół miesiąca na izolacji – ciągła sterylizacja, ciągłe warunki ochronne, nieustanne czuwanie. Naprawdę dużo tego było. Ale w końcu Norbert wyszedł z tej izolacji i wróciliśmy do domu.

Nawiązaliście kontakt z tym dawcą?
Wyszliśmy z propozycją spotkania, ale odmówił. Powiedział tylko, że cieszy się, że pomógł. I tyle. Imienia i nazwiska nie znam do dziś. Ale za tę decyzję – za to, że powiedział „tak", gdy poprzedni powiedział „nie" – będę mu wdzięczna do końca życia.

Wróćmy do rekonwalescencji. To był długi proces?

eprasa.pl 2cd4587c73



FOT. A. GRYZA-ANESZKO

Aneta Piekarska z Suwałk z synem Norbertem

Bardzo długi. Przynajmniej dwa razy w tygodniu jeździliśmy na wyniki z Suwałk do Białegostoku. Było to uciążliwe, ale konieczne. Do tego po pierwszym przeszczepie u Norberta wystąpiła hipoglobulinemia, czyli brak przeciwciał. Dostawał wlewy co dwa tygodnie, w brzuch. Lekarz mówił, że w bardzo rzadkich przypadkach organizm regeneruje się na nowo i zaczyna sam produkować przeciwciała – ale to wyjątek, nie reguła. W przypadku Norberta lekarze zapowiadali, że prawdopodobnie do końca życia będzie musiał mieć te wlewy. I przez trzy lata niby wszystko było dobrze. A potem choroba wróciła…

To musiał być druzgocący moment.

Znowu zaczęło się od kaszlu, od jakiegoś zmęczenia. Znowu trafiliśmy na oddział. Znowu ten sam zapach szpitala, znowu białaczka, znowu procedura chemioterapii. Ale Norbert był już starszy, silniejszy – inaczej to znosił. I tym razem było już trochę inaczej. Po bloku chemioterapii w Białymstoku pojechaliśmy na drugi przeszczep – do Bydgoszczy.

Tym razem dawczynią była kobieta z Polski – Kasia.

Tak. Znaleziona przez DKMS kobieta z Jasinicy spod Warszawy, zgodność 10 na 10. I słuchajcie, jak już było po wszystkim, zgodziła się do nas przyjechać. Przyjechała ze swoim chłopakiem do Suwałk na majówkę. Przez trzy dni woziliśmy ją po całej Suwalszczyźnie – byliśmy na Wigrach, w Studzienicznej, wszędzie. Siedzieliśmy razem, rozmawialiśmy, zwiedzaliśmy. Pamiętam, jak przyjechała i Norbert wręczył jej białego anioła z czerwonym sercem. Rozpłakaliśmy się wtedy wszyscy. To są wspomnienia, które na zawsze zostaną w pamięci.

Macie do dziś kontakt?

Tak. Od czasu do czasu, jak jesteśmy w Warszawie, spotykamy się. Zawsze znajdzie się chwila. Kasia to jest nasz anioł, po prostu.

Jak przebiegł drugi przeszczep?

Pan profesor powiedział, że Norbert przeszedł go książkowo – dokładnie 21 dni. I stało się coś, na co chyba nikt do końca nie liczył. Widocznie ten drugi przeszczep był mu do czegoś potrzebny, bo organizm na nowo się zregenerował i zaczął wytwarzać własne przeciwciała – te same, o których mówiono, że Norbert będzie musiał je dostawać do końca życia w postaci wlewów. W tej chwili nie jest na wlewach. Jego organizm sam produkuje komórki, które bronią go przed infekcjami. Profesor powiedział, że to naprawdę wyjątkowe.

A co powiedział lekarz prowadzący?

Powiedział wprost, po całkowitym zakończeniu choroby: Norbert nie miał prawa z tego wyjść. Ten lekarz naprawdę walczył o Norberta. Często zostawał po godzinach – jak ja to mówię, po lekcjach – i studiował jego przypadek, szukał rozwiązań. Stanął na wysokości zadania w stu procentach. Ale ja uważam, że czuwał też Pan Bóg. Dałam mu syna w jego ręce. No i potoczyło się jak potoczyło.

Norbert ma teraz dwadzieścia lat…

Jest zdrowy. Skończył szkołę, szuka pracy. Teraz akurat pojechał do Krakowa – do brata Adriana. Przez osiem lat ciężko mu było dochodzić do siebie, ale doszedł. Jak patrzę na niego dzisiaj, to myślę, że jest to po prostu cud.

I właśnie starszy brat Norberta – Adrian – to jest osobna, niesamowita historia.

Adrian jest zawodowym piłkarzem, gra w Puszczy Niepołomice. Zarejestrował się jako potencjalny dawca szpiku po jednej z prelekcji, które prowadziliśmy z Marysią Sienkiewicz z Fundacji Promyk. Jeździliśmy po suwalskich liceach i szkołach wyższych i opowiadaliśmy, jak wygląda dawstwo od strony DKMS-u, od strony dawcy, od strony biorcy. Jak pobiera się komórki macierzyste, jak wygląda rekonwalescencja, czego się bać, a czego nie. Po każdej takiej pogadance z młodzieżą było bardzo dużo rejestracji – młodzi wysyłali swoje wymazy z policzka do DKMS-u.

I jedną z tych szkół, gdzie odbyła się pogadanka o dawcach szpiku, była szkoła Adriana.

Tak. Pamiętam, jak stałam i opowiadałam o całej historii choroby Norberta – jego brata. W pewnym momencie Adrian wyszedł z sali. Wszyscy potem pytali, dlaczego wyszedł. A on się wtedy kompletnie rozkleił. Powiedział do kolegów: „Słuchajcie, to była moja mama”. I poszedł się zarejestrować jako dawca. Oddał wymaz i czekał…

I po dwóch latach zadzwonił telefon z DKMS-u.

Tak, Adrian zadzwonił wtedy do mnie i mówi: „Mamo, nie uwierzysz, co się stało. Dzwonili z DKMS-u, jestem wstępnie zgodny, jadę do Warszawy na badania, mogę komuś uratować życie”. Co może czuć matka, kiedy słyszy coś takiego? Jeden syn dostał szpik od kogoś obcego, a drugi może teraz komuś innemu podarować życie. To jest uczucie nie do opisania.

Pojechał do Warszawy, przeszedł wszystkie badania i?

I okazało się, że może być dawcą, bo jest w pełni zgodny. I że może uratować życie kobiety za granicą. Tutaj wielki ukłon w stronę DKMS-u – zadzwonili do nas i powiedzieli, że chcieliby, żebyśmy byli przy Adrianie w tym momencie. Zakwaterowanie w gratisie. Pojechaliśmy – ja, mąż i Norbert. Adrian o niczym nie wiedział. Wieczorem zapukaliśmy do jego drzwi. Jak nas zobaczył, powiedział, że czuje ogromne wsparcie – że nie jest sam, że ma przy sobie właśnie Norberta, brata, który wie, co to znaczy dostać czyjś szpik. To było dla niego coś więcej niż wizyta rodziny.

Jak wyglądało samo oddanie komórek?

To był przeszczep z krwi obwodowej – trwał około pięciu, sześciu godzin. Syn był trochę osłabiony. Ale na drugi dzień po oddaniu komórek macierzystych spotkaliśmy się w parku, rozmawialiśmy – była nawet telewizja, nagrania. A potem Adrian pojechał ze swoim najlepszym kolegą do lasu, wszedł na wysoki szczyt, podniósł ręce do góry i krzyknął: „Zrobiłem to!”. Mam gdzieś jeszcze w archiwach zdjęcie z tego momentu. Jak to widzę, to mi się za każdym razem kręcą łzy w oczach.

Czy ludzie boją się dawstwa?

Na pewno się boją. Boją się, że to zaszkodzi ich zdrowiu, że organizm już nie będzie taki jak wcześniej. I mało się o tym mówi – albo mówi się niepreczyjnie. Dlatego my chodzimy i tłumaczymy. DKMS w stu procentach organizuje cały proces – nocleg, opiekę, dojazd. Jeżeli jedzie się zostać dawcą, warto wziąć ze sobą kogoś bliskiego, kto wesprze, przywiezie, odwiezie, bo można czuć się trochę osłabionym. Ale rekonwalescencja po pobraniu krwi obwodowej jest naprawdę krótka. Mój syn następnego dnia wszedł na wysoki szczyt i krzyczał z radości. To chyba daje wyobrażenie, o jakim wysiłku mówimy.

To wszystko zmieniło was jako rodzinę?

Zmieniło. Nasz sąsiad też został dawcą, koleżanka też. Dookoła nas to dobro jakoś tak samo się rozchodzi. Ja sama zagłębiłam się w naturalne wspieranie ludzi po chemioterapii i radioterapii – medycyną niekonwencjonalną. Przez osiem lat wspierałam w ten sposób Norberta, kiedy dochodził do siebie, więc ta wiedza gdzieś we mnie została i teraz staram się dzielić nią z innymi. Ile możemy, tyle robimy. Bo my wiemy, co znaczy czekać. I wiemy, co znaczy, gdy ktoś obcy powie: tak, chcę pomóc.

Rejestracja jako potencjalny dawca szpiku możliwa jest przez stronę dkms.pl. Wystarczy zamówić bezpłatny pakiet i odesłać wymaz z policzka.

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

M/S „BATORY" MAJESTATYCZNIE PŁYNIE DO WENECJI

21 kwietnia 1936 r., równo 90 lat temu, legendarny transatlantyk wyruszył w swój pierwszy rejs. Był symbolem aspiracji i dumy II RP

Mariusz Grabowski

Na tle ówczesnej polskiej siermięgi „Batory" miał być wizytówką polskiej floty i wizualnym narzędziem propagandy. pokazywać Polskę jako kraj nowoczesny. Luksusowy wystrój wnętrz sfinansowały instytucje i banki, meble i dekoracje wykonano z najlepszych materiałów, a wśród pasażerów królowali celebryci.

Fogg tańczy z Ordonką

„Batorego" nie można traktować jedynie jako przedsięwzięcia biznesowego, był bowiem czymś znacznie ważniejszym. Nie tylko cieszył oko, ale realizował mocarstwowe marzenia Polski stania się potęgą morską i pełnił funkcję ambasadora polskiej kultury i sztuki. Nie bez powodu na pierwszy rejs Triest-Gdynia przez Dubrownik, Barcelonę i Lizbonę zaproszono najbardziej znane postacie z ówczesnego świecznika.

Jak pisze Bożena Aksamit w książce „Gwiazdy, skandale i miłość na transatlantyku": „Był tam m.in. Melchior Wańkowicz, Arkady Fiedler, Irena Eichlerówna, Monika Żeromska. Poza tym arystokraci, inteligencja, przemysłowcy. Przez dwa tygodnie dobrze bawili się, spędzali czas na dansingach, balach (...) Przedstawiciele elit np. Mieczysław Fogg, czy Hanka Ordonówna pływali także w kolejnych rejsach do Nowego Jorku". Na pokładzie byli także malarz Wojciech Kossak, aktorka Irena Eichlerówna, a nawet Andrzej Strug, literat, socjalista i wolnomularz.

Później „Batory" miał też mniej spektakularne zadania - podróżowali nim emigranci zarobkowi do Ameryki. Rejsy wycieczkowe były organizowane niejako przy okazji masowego przewozu emigrantów do Ameryki.

Rodzą się legendy

Statek był olbrzymi: miał 160 m długości, 22 m szerokości, siedem pokładów, salę balową, sale dancingowe, czytelnię, trzy bary, kaplicę, basen i salę gimnastyczną z elektrycznym koniem i wielbłądem. Dekoracje statku wykonali najwybitniejsi polscy artyści, zrzeszeni m.in. w grupie artystycznej „Bractwo św. Łukasza", którzy zadbali o projekt nie tylko pomieszczeń ale również najmniejszych detali takich jak zastawa stołowa czy karty dań. Linię pokładu podkreślała biała wstęga burtowa wybijająca się z czarnego kadłuba. Liniowiec miał niezbyt mocno wychyloną, ozdobioną stylizowanym herbem Stefana Batorego dziobnicę.

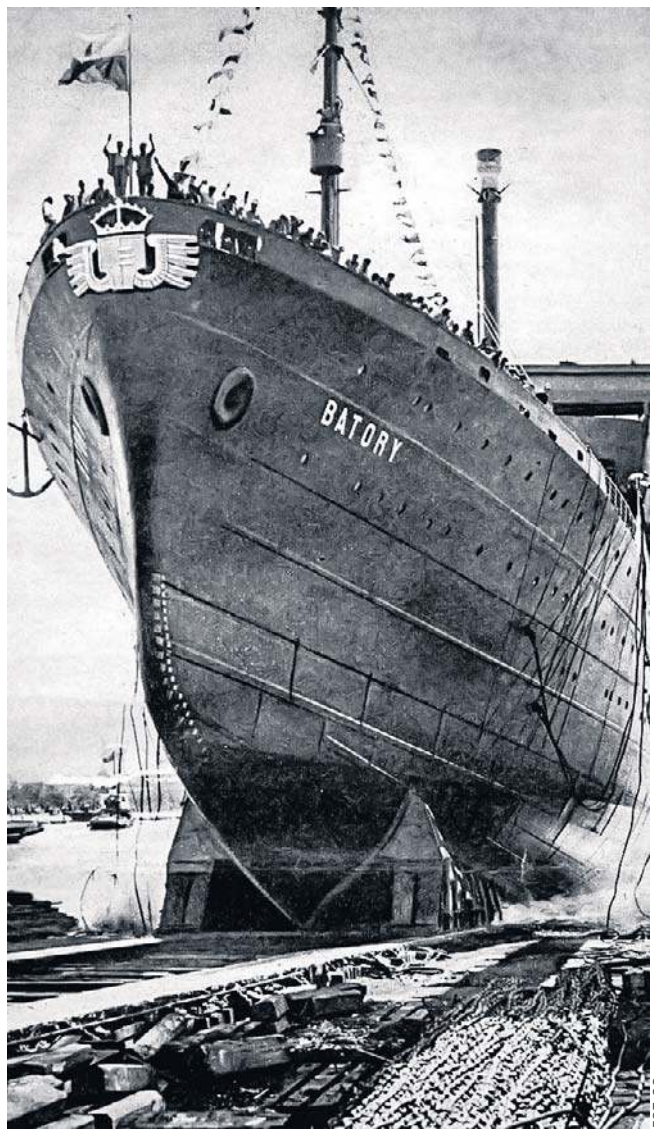
„Swój najlepszy czas miał podczas międzywojnia, gdy za sterami stał legendarny »Szaman Morski"« kapitan Eustazy Borkowski. Postać uwielbiana przez pasażerów, poliglota mówiący kilkunastoma językami i to przeważnie jednocześnie. Przysłowiowa była jego słabość do pań i wysokoprocentowych napojów. Na »Batorym« żartowano, że statek zatonie, gdy kapitan Eustazy Borkowski wytrzeźwieje" - pisze Aksamit.

Załoga „Batorego", zgodnie z odgórnym poleceniem szefostwa, była otwarta na pasażerów, spędzała z nimi czas i wspólnie imprezowała. Na statku była też wyśmienita kuchnia, która przyciągała gości z zagranicy. Posiłki jedzono na porcelanie z Ćmielowa, sztućcami Frageta, pod obrazami Zofii Stryjeńskiej.

Państwo wspomaga

Wystrój polskich transatlantyków był wynikiem świadomych założeń. Do jego realizacji powołano nawet specjalną podkomisję artystyczną, której przewodniczącym został artysta i projektant Wojciech Jastrzębowski, projektant wnętrz gmachu Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego - obecnie Ministerstwo Edukacji Narodowej.

„Statki miały stać się pływającymi salonami, świadczącymi o polskiej kulturze artystycznej.



FOT. CC

Wodowanie kadłuba odbyło się 3 lipca 1935 roku, a matką chrzestną była Jadwiga Barthel de Weydenthal. 21 kwietnia 1936 wyruszył w swój pierwszy rejs

Komisja zaprosiła do współpracy artystów z rozmaitych środowisk. Zarówno z akademii, jak i politechnik, w tym wielu młodych, wręcz jeszcze studentów" - czytamy na stronie designalive.pl, poświęconej architekturze wnętrz.

Można powiedzieć, że wystrój transatlantyków stał się zatem dziełem zbiorowym. Zaprojektowano nie tylko pomieszczenia, ale także liczne detale, w tym zastawę stołową i kartę dań.

Biznes z rozmachem

„Batory" był ikoną stylu, ale miał też zarabiać. Pomysł jego budowy zrodził się na początku lat 30. w zarządzie nowo utworzonej polsko-duńskiej spółki akcyjnej z siedzibą w Gdyni, czyli Polskiego Transatlantyckiego Towarzystwa Okrętowego (PTTO).

Jak czytamy w trzecim tomie „Księgi statków polskich 1918-1945": „11 marca 1930 r. zawarto umowę między Żeglugą Polską a Det Østasiatiske Kompagni o powołaniu spółki akcyjnej Polskie Transatlantyckie Towarzystwo Okrętowe Linia Gdynia-Ameryka z siedzibą w Gdyni. Udział strony polskiej wynosił 75 proc. akcji. Za kwotę 18 mln ówczesnych złotych, rozłożoną na raty i zabezpieczoną na hipotekach statków, strona polska zakupiła całą Bałtycko-Amerykańską Linię ze statkami, biurami i przystanią w Nowym Jorku".

Jednocześnie podjęto decyzję o zmianie profilu linii północnoamerykańskiej, z emigranckiego na turystyczny. W takiej sytuacji koniecznością stała się budowa nowych jednostek, które spełniałyby najnowsze standardy. Do budowy przyszłego „Batorego" wybrano włoską stocznię Cantieri Riuniti dell'Adriatico. Co ciekawe, część zapłaty - 1,25 mln dolarów - miała być zrealizowana polskim węglem.

Kierunek: Nowy Jork

W 1932 r. w miejsce Żeglugi Polskiej akcjonariuszem PTTO został Skarb Państwa, a siedzibę przeniesiono z Gdyni do Warszawy. Luksusowe biura mieściła się najpierw w kamienicy na rogu Marszałkowskiej i Złotej, a potem w Pałacu Kronenberga. W październiku 1934 r. udziałowcy PTTO zdecydowali o zmianie nazwy firmy na Gdynia-Ameryka Linie Żeglugowe S.A., w skrócie GAL, zmieniając też flagę i odznakę armatorską.

Biznes okazał się opłacalny: GAL prowadziły przewozy pasażerskie głównie do obu Ameryki oraz z rumuńskiej Constancy, przez Istambuł, do Haify i w końcu sierpnia 1939 r. dysponowały ośmioma statkami. Największymi w okrętowej stajni były M/S „Piłsudski" i M/S „Batory" (po ok. 14 tys. BRT), najmniejszym zaś M/S „Stalowa Wola" (3,5 tys. BRT). GAL utrzymywały sieć przedstawicielstw w kraju i za granicą, m.in. w Londynie, Nowym Jorku, Pradze, Rydze, Bukareszcie, Buenos Aires, Tel Awiwie, Kopenhadze i Gdańsku. W Nowym Jorku spółka dzierżawiła początkowo przystań Bush Pier w Brooklynie, a od 1935 r. znacznie większą przystań Hoboken.

Transatlantyki prezentowały się majestatycznie na tle wzburzonych fal, ale ich pasażerami byli najczęściej nie celebryci, lecz biedota: polska emigrująca do Stanów i żydowska do Palestyny.

Polska bieda

Dużo mniej liczny był transport reemigrantów powracających do Polski lub Polaków mieszkających w USA, którzy przyjeżdżali do kraju odwiedzić rodziny. Z dokumentów Muzeum Emigracji w Gdyni wynika, że w Dwudziestoleciu w ramach emigracji zarobkowej wyjechało z Polski ok. 2,2 mln osób. Zanim uruchomiono port w Gdyni, emigranci do Stanów Zjednoczonych i krajów Ameryki Południowej odpływali przeważnie z portów niemieckich i na niemieckich statkach.

„Słońce, wino i dancingi"

Przenieśmy się na „Batorego, wyruszającego w swój dziewiczy rejs. Rejs był szeroko reklamowany w prasie, stał się towarzyską sensacją i GAL nie miały problemów ze sprzedażą biletów. Jak opisywał później Melchior Wańkowicz, który codziennie nadawał audycje radiowe do kraju, znalazło się na nim „620 burżujów". Na późniejsze zarzuty, że artyści i przedstawiciele wolnych zawodów - a to właśnie śmietanka miała testować „Batorego" - sami kupili bilety, odparł, że „biednych na pokładzie na pewno nie było". „Ci ludzie zarabiali po pięćdziesiąt tysięcy złotych miesięcznie" - odpowiadał pisarz. Dla porównania: nauczyciel zarabiał wówczas około 200 zł miesięcznie, a starszy sierżant policji ponad 250 zł. Z kolei pierwszy rejs z Gdyni do Nowego Jorku, nie licząc postoju w Kopenhadze, zajął „Batoremu" siedem dni i 17 godzin. Na pokładzie byli nie tylko pasażerowie. Do Stanów zabrał ze sobą wędliny, nabiał, cement, gięte meble czy blachę. W kolejnych rejsach z i do USA, „Batory" przewoził auta, listy, a nawet samolot, należący do Tomasza Baty, założyciela firmy Bata. Wbrew legendzie, „Batory" nie transportował... żubrów. W listopadzie 1934 r. cztery bizony - dar Polonii kanadyjskiej dla prezydenta RP Ignacego Mościckiego - przewiózł do Gdyni MS „Kościuszko".

Na wojnie i później

24 sierpnia 1939 r. „Batory" wypłynął z Gdyni, a 30 sierpnia kapitan Borkowski dostał polecenie, by skierować się do najbliższego angielskiego portu. Zdecydował się jednak płynąć do Nowego Jorku, choć do Anglii było dużo bliżej. „Batory" dotarł tam 4 września. Polski transatlantyk Amerykanie wyczarterowali Brytyjczykom. Po przejęciu nazywał się H (is) M (ajesty's) T (ransport) „Batory". „Na wojenny kamuflaż poszło kilka ton farby, statek stał się ciemnoszary, a burty zostały zamalowane w podłużne, faliste pasy o kolorze zielonoczarno-szarym" - pisze Bożena Aksamit. „Batory" służył w czasie wojny Brytyjczykom jako transportowiec z polską załogą, a w 1945 r. wrócił do Polski. Zezłomowano go w 1971 r. Oblicza się, że 35 lat służby odbył 222 rejsy liniowe, przewożąc ok. pół mln pasażerów. W 1952 r. zastąpił go transatlantyk „Stefan Batory", też przedmiot polskiej dumy, ale tym razem tej socjalistycznej.

eprasa.pl 2cd4587c73



FOT. GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Michał Sikorski, Kinga Preis i Anna Szymańczyk wypoczywają na planie filmu „Berek", w przerwie pomiędzy ujęciami przed Kościołem Ewangelicko-Augsburskim św. Mateusza przy ulicy Piotrkowskiej w Łodzi

„BEREK" ŁÓDZKIMI ULICAMI DO KOMEDII

O dobrą filmową komedię łatwo nie jest. W Łodzi kończą się właśnie zdjęcia do nowej produkcji zatytułowanej „Berek", która ma bawić swoją bezkompromisowością. Będzie hit?

Dariusz Pawłowski

Dawno w Łodzi filmowej takiej przyjemności nie mieliśmy. To w mieście „Ziemi obiecanej" powstają właśnie wszystkie zdjęcia do nowej rodzimej produkcji - filmu „Berek". I jak zapowiadają realizatorzy, Łódź pokaże się na ekranie jako miasto wielce atrakcyjne. W dodatku w towarzystwie ekranowych gwiazd i dobrego humoru.

„Berek" jest ekranizacją bestsellerowej powieści Marcina Szczygielskiego wydanej w 2007 roku i zarazem jednego z najpopularniejszych polskich spektakli komediowych ostatnich lat - „Berek, czyli upiór w moherze". Książka sprzedała się w nakładzie przekraczającym sto tysięcy egzemplarzy (co dzisiaj jest dużym wyczynem) i doczekała licznych adaptacji scenicznych w kraju i za granicą - od Europy po Amerykę Północną i Australię (w premierowej inscenizacji w Teatrze Kwadrat w Warszawie zagrali Ewa Kasprzyk i Paweł Małaszyński). To brawurowo napisana historia dwojga ludzi, których zdaje się wszystko dzielić. Paweł, typowy wielkomiejski gej, który nie stroni od głośnych imprez i wszelkich uroków życia, oraz Anna, toksyczna dewotka, gorliwa katoliczka, mieszkają po sąsiedzku w jednej kamienicy, ale tkwią w swoich własnych światach. Żadne z nich nie jest zdolne do zaakceptowania stylu życia drugiej strony. Im głośniej on słucha muzyki, tym donośniej ona nastawia religijne stacje radiowe i śpiewa kościelne pieśni. Walenie w ścianę, trzaskanie drzwiami, podsłuchiwanie i złośliwe komentarze są codziennością. Gdy ich drogi się przecinają, wybucha prawdziwa sąsiedzka wojna. Eskalacja ich konfliktu, jak łatwo się domyślić, prowadzi do dramatycznej konfrontacji... W powieści dosadne opisy towarzyszą bezwzględnej satyrze. Film ma zawierać więcej delikatności, pozostając komedią o ciętym humorze i głębokiej ironii, nie stawiającą sobie granic.

Produkcję realizuje urodzony w Łodzi Bartosz Prokopowicz, operator filmowy i reżyser. Twórca wychowywał się na łódzkiej Retkini. Ukończył III Liceum Ogólnokształcące im. Tadeusza Kościuszki w Łodzi, a następnie Wydział Operatorski łódzkiej Szkoły Filmowej. Jest autorem zdjęć do takich głośnych produkcji, jak „Dług" Krzysztofa Krauzego (nagroda Specjalna Złota Kaczka), „Wyrok na Franciszka Kłosa" Andrzeja Wajdy, „Przedwiośnie" Filipa Bajona, „Komornik" Feliksa Falka (nagroda za zdjęcia na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych), czy „Korowód" Jerzego Stuhra. Jako reżyser zrealizował między innymi filmy „Chemia", „Narzeczony na niby", „Nic na siłę". W rolach głównych występują Michał Sikorski i Kinga Preis. Na ekranie towarzyszą im Anna Szymańczyk, Emma Giegżno, Kamil Maćkowiak i Maciej Wysocki.

W Łodzi ekipa filmowa realizowała zdjęcia między innymi w okolicach i wnętrzu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego św. Mateusza przy ul. Piotrkowskiej - tu powstała największa sekwencja w filmie, z udziałem głównych aktorów oraz ponad stu statystów, a także w Pasażu Róży, na Placu Wolności, Piotrkowskiej, w III LO, wrotkarni w Ogrodach Geyera.

- Moim pomysłem było realizowanie wszystkich zdjęć do filmu w Łodzi, bo to moje miasto i chciałem pokazać jego magię - zapewnia Bartosz Prokopowicz. - Tutaj się urodziłem, mieszkałem na Retkini przy krańcówce „dziesiątki" i chodziłem do „Trójki". Chciałem pokazać Łódź jako nowoczesne miasto, w którym nowoczesność spotyka się z historią. I takim miastem jest właśnie Łódź: trochę Berlin, trochę Kopenhaga, ale tak naprawdę Łódź.

Autorami scenariusza do filmu są Michał Bąk oraz Doman Nowakowski i Anna Wiśniewska (odpowiedzialni za scenariusz filmu „Baby boom, czyli Kogel Mogel 5"). W ich wersji „Berek" to opowieść o tym, że warto ze sobą rozmawiać, wsłuchać się w drugą osobę, pomimo różnic światopoglądowych i obyczajowych. W filmie zostaje rozpętana totalna awantura, ale wszystko się zmienia, gdy Anna łamie nogę, a jedyną osobą, która może jej pomóc, jest... Paweł. Dwójka odwiecznych wrogów musi zawiesić broń i zacząć współpracować.

- Naszym filmem zamierzamy zapewnić widzów, że warto wyjść z własnej strefy komfortu, wsłuchać się w drugiego człowieka, poczuć do niego sympatię - dodaje reżyser obrazu. - Będzie bezkompromisowo zabawnie, ale też mądrze i wzruszająco.

Reżyser nie kryje, że wyzwaniem było przeniesienie kameralnej w sumie opowieści na wymagający większego rozmachu kinowy ekran.

- Kino rządzi się swoimi prawami, jest przede wszystkim obrazem - mówi Bartosz Prokopowicz. - Obklejam więc tekst tkanką filmową, tym co kocham i w czym jestem dobry, czyli obrazem właśnie, światłem, przestrzenią, poezją. Pracujemy językiem filmowym, czyli tym, co jest pomiędzy słowami. Wejściem w scenę, pasażem, chwilą zatrzymania, momentem samotności. Mieszkania naszych bohaterów połączone są wywietrznikiem, do którego pani Anna śpiewa swoje pieśni, a Paweł głośno puszcza muzykę. Kamera, ze swoim subiektywnym okiem, może wejść do wywietrznika w jednym mieszkaniu, podążyć za dźwiękiem i wyjść w drugim mieszkaniu. To są elementy, które pozwalają nam zbudować tę opowieść na ekranie. Do tego dochodzi cały wachlarz mocno zarysowanych postaci drugoplanowych, no i oddech uzyskany dzięki łódzkim plenerom.

Wizja reżysera miała przypaść do gustu twórcy książki, Marcinowi Szczygielskiemu.

- Autor tekstu przeczytał scenariusz i dał mi błogosławieństwo - uśmiecha się Bartosz Prokopowicz.

Łódź jest też bliska Annie Szymańczyk, wcielającej się na ekranie w córkę głównej bohaterki filmu. Aktorka zdawała do łódzkiej Szkoły Filmowej, choć ostatecznie ukończyła Akademię Teatralną w Warszawie (ale w Łodzi, na Festiwalu Szkół Teatralnych w 2010 roku otrzymała nagrodę specjalną).

- Podoba mi się, że moja postać ma silny charakter, zresztą silne są również jej matka i córka - zaznacza. - Realizacja tego filmu to bardzo przyjemna praca. A dzieje się tak dlatego, że spotkaliśmy się w grupie, która bardzo chce zrealizować ten projekt. W dodatku udało nam się wytworzyć na planie chemię pomiędzy aktorami, bo po prostu wszyscy się tu lubimy i szanujemy, a również o szacunku do drugiego człowieka jest ten film. Wnosimy w to przedsięwzięcie swoją energię, co zresztą jest tak bardzo ciekawe w sztuce filmowej czy teatralnej, że pracując na tych samych literach zapisanych w scenariuszu różni aktorzy stworzą odmienne role i powstaną inne dzieła.

Michał Sikorski, który gra Pawła, sąsiada Anny, dał się poznać widzom między innymi rolą księdza Jakuba w popularnym, komediowym też serialu „1670".

- Konflikt między moim bohaterem a Anną jest bardzo barwny i głośny, ale ostatecznie szukamy tego, co ich łączy - zauważa aktor. - Uważam, że najciekawsze jest właśnie poszukiwanie w drugim człowieku tego, co może nas łączyć, bo to, co nas dzieli, widoczne jest gołym okiem. To dla mnie osobiście także niezwykła przygoda, zupełnie inny rodzaj humoru, pracy nad rolą i z reżyserem, niż chociażby w serialu, z którym jestem kojarzony. Jestem bardzo ciekawy efektu, który uzyskamy. Na planie bawimy się znakomicie, pozostaję na nim także podczas scen, w których nie gram, by podglądać koleżanki i kolegów. Na długo zapamiętam też scenę, w której jadę na rowerze środkiem Piotrkowskiej i cała ulica była zamknięta tylko dla mnie.

Za realizację filmu odpowiada Figaro Films Production (mająca na koncie takie komediowe przeboje, jak „Porady na zdrady", „Dzień dobry, kocham Cię!" oraz „Pech to nie grzech"), a dystrybutorem jest Kino Świat. - Bardzo się cieszę, że możemy zaprosić widzów do kin na film oparty na znakomitej książce i sztuce teatralnej. To piękna historia o zrozumieniu i przyjaźni ponad podziałami i stereotypami - wyznaje Dorota Eberhardt, CEO Kino Świat.

Bartosz Prokopowicz dodaje, że realizując komedię, chce powiedzieć o sprawach, które są ważne - także dla niego.

- Jestem przekonany, że w dzisiejszych czasach, szczególnie kiedy tuż za naszymi granicami trwa okrutna wojna, trzeba kochać, wybaczać, szukać porozumienia i bliskości. Chciałbym, by z takim budującym przekonaniem wychodzili z kina po projekcji filmu nasi widzowie.

Premiera produkcji planowana jest na początek 2027 roku. Wygląda na to, że warto będzie zaczekać.

eprasa.pl 2cd4587c73

Polska
Piątek–niedziela, 17–19.04.2026

HISTORIA

Hołd Pruski, czyli żal po zmarnowanej szansie

Obraz Matejki przedstawiający Hołd Pruski z 1525 roky w Krakowie – słusznie dowodzi prof. Stefan Jerzy Ciara, historyk z Uniwersytetu Warszawskiego – to jedna z najbardziej rozpoznawalnych scen w polskiej historii, symbolizująca potęgę dawnej Rzeczypospolitej. Ale pyta przy okazji: czy nie jest to zarazem symbol zmarnowanej szansy na likwidację państwa pruskiego?

Kraków patrzy na Albrechta

Ta książka to nie tylko podróż pod Wawel AD 1525, kiedy to Albrecht Hohenzollern, wielki mistrz krzyżacki, złożył przysięgę lenną polskiemu królowi Zygmuntowi Staremu. To także analiza ewolucji państwa pruskiego: od zakonu, przez świeckie lenno, aż po niezależne królestwo, które wieki później odegrało tragiczną rolę w rozbiorach Rzeczypospolitej.

Prof. Ciara precyzyjnie rozkłada na czynniki pierwsze ówczesne decyzje polityczne i ukazuje, jak pozornie korzystne układy mogły stać się zalążkiem przyszłych zagrożeń. Bo oto niemiecki arystokrata złożył w 1525 r. przysięgę poddańczą, jednak ponad sto lat później lenno przestało być „podmiotem politycznym".

Ostatni hołd polskiemu władcy został złożony w 1649 r., a tymczasem w 1701 r. koronowany został w Prusach pierwszy król.

12 hołdów. Ale co dalej?

Rok 1525 nie był niczym nowym. Ówczesny hołd był jednym z 12 hołdów lennych składanych królom Polski przez władców Prus (zakonnych i książęcych) w latach 1469-1641. Choć najbardziej znany jest ten złożony przez Albrechta, był to element długotrwałego procesu podporządkowania Prus Koronie. Procesu zakończonego fiaskiem.

Przypomnijmy: 1 grudnia 1469 r. na sejmie w Piotrkowie Trybunalskim wielki mistrz Henryk Reuss von Plauen złożył hołd lenny królowi Kazimierzowi IV Jagiellończykowi. Rok później na sejmie w tymże Piotrkowie kolejny mistrz, Henryk VII Reffle von Richtenberg, złożył hołd lenny królowi Kazimierzowi IV Jagiellończykowi. 9 października 1479 r. w Nowym Mieście Korczynie Martin Truchsetz von Wetzhausen złożył hołd lenny królowi Kazimierzowi IV Jagiellończykowi. 18 listopada 1489 r., tym razem w Radomiu, ukorzył się Johann von Tieffen, zaś 29 maja 1493 r. w Poznaniu tenże von Tieffen złożył hołd Janowi I Olbrachtowi.

Wielki Elektor klęczy

Fenomen powstania antypolskich Prus jest tym bardziej zdumiewający, że przecież po 1525 r. zwyczaj hołdowania lenników wciąż trwał. 19 lipca 1569 r. na sejmie w Lublinie książę pruski Albrecht Fryderyk Hohenzollern złożył hołd Zygmuntowi II Augustowi. 20 lutego 1578 r. przed kościołem św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie margrabia Jerzy Fryderyk von Ansbach złożył hołd Stefanowi Batoremu, a 16 listopada 1611 r. przed kościołem św. Anny przy Krakowskim Przedmieściu w Warszawie margrabia brandenburski, elektor Jan Zygmunt Hohenzollern, dokonał tego aktu przed Zygmuntem III Wazą.

Proceder trwał aż do roku 1641, kiedy to przed Władysławem IV Wazą ukląkł w Warszawie elektor Fryderyk Wilhelm Hohenzollern, czyli sam Wielki Elektor. W 1649 r. hołd Janowi Kazimierzowi został złożony na Wawelu per procura przez trzech posłów reprezentujących elektora.

Bożydar Brakoniecki



Stefan Ciara, „Hołdy pruskie. Zmarnowana szansa Rzeczypospolitej", wyd. Biały Kruk, Kraków 2026, cena 79 zł

HISTORIA

Przemilczana makabra na ochockim Zieleniaku

W upalnym sierpniu 1944 r. hala targowa przy ul. Grójeckiej na warszawskiej Ochocie stała się piekłem dla dziesiątek tysięcy warszawiaków. Przetrzymywano tam wypędzonych z domów mieszkańców, nad którymi pieczę sprawowali kolaborujący z Niemcami rosyjscy żołnierze SS-RONA, podległej Erichowi von dem Bachowi-Zelewskiemu. To oni pacyfikowali w powstaniu tę część miasta.

Straszny los kobiet

Anna Augustyniak odtwarza atmosferę tamtych dni, wprowadzając nas w świat Alicji Piotrowskiej, prostej służącej z Ochoty, która wraz z bliskimi staje w obliczu przerażającej rzeczywistości.

„Opaczewska – ich ulica – trzymała się nieźle, co prawda w ścianach domów pojawiły się jakieś dziury od kul, jednak nic nie zapowiadało większego zagrożenia. I nagle 4 sierpnia wkroczyli żołdacy, jedni w niemieckich mundurach, inni w sowieckich, a jeszcze następni w cywilnych ubraniach, tylko z opaskami na rękawach, i w parę minut opanowali całą kamienicę. Na wszystkich piętrach zaczęło się wielkie plądrowanie – a potem strzały do ludzi. Kto by się w takiej sytuacji zastanawiał?".

Gdy do schronu wtargnęli żołnierze w niemieckich mundurach, ale mówiący językami wschodu, cywile stanęli w obliczu okrucieństwa, którego nawet cztery lata wojny nie były w stanie przewidzieć. Brak wody, walka o przetrwanie i rozpaczliwe próby ochrony najsłabszych przed pijanymi oprawcami to tylko fragment tamtego koszmaru.

„Zieleniak" to hołd dla tych, których głosy zostały zagłuszone, a losy zepchnięte na margines oficjalnej narracji historycznej. Zwłaszcza kobiet, masowo i okrutnie gwałconych przez rozbestwionych żołdaków, a nierzadko potem mordowanych na placu targowiska. Na oczach innych.

Zieleniak jako symbol

Książka Anny Augustyniak przywołuje doświadczenie najzwyklejszych ludzi, bez ozdobnych laurek, brązownictwa i bohaterszczyzny. Spędzono ich na teren Zieleniaka w pierwszych dniach sierpnia 1944 r. do utworzonego tam obozu przejściowego dla cywilnej ludności Ochoty.

Dziś oblicza się, że na Zieleniaku zamordowano ponad tysiąc ludzi. Zieleniak pełnił również rolę punktu zbornego dla ludności wysiedlanej przez Niemców z innych dzielnic Warszawy.

Łącznie w okresie powstania warszawskiego przez targowisko przeszło blisko 60 tysięcy mieszkańców Warszawy. W ten sposób stał się on się najbardziej znanym – obok kościoła św. Wojciecha na Woli – punktem zbornym dla wypędzanej ludności. Stąd kierowano ludzi do obozu przejściowego w Pruszkowie.

Autorka połączyła w „Zieleniaku" dokumentalną precyzję z charakterystycznym, „płynnym stylem", który sprawia, że nawet najtrudniejsze opisy okrucieństw są przystępne, a narracja wciągająca. Książka jest warta uwagi również przez to, że wreszcie daje głos tym, których cierpienie zbyt długo było przemilczane przez bezkrytycznych gloryfikatorów romantycznych zrywów powstańczych.

Lucjan Strzyga



Anna Augustyniak, „Zieleniak", wyd. Marginesy, Warszawa 2026, cena 49,90 zł

FILOZOFIA

Jakim autem jeździsz? Jakiego masz smartfona?

Przekonanie, że technologia w służbie postępu przyniesie ludzkości szczęście i remedium na wszelkie bolączki świata, jest nieodłączną cechą ideologii liberalnej. Kilka lat temu wziął ją pod lupę nowozelandzki etyk Nicholas Agar, a z tego zainteresowania zrodziła się książka „Sceptyczny optymista, czyli dlaczego technologia nie jest odpowiedzią na wszystko". Na przekór intelektualnemu mainstreamowi kwestionuje ona wszechobecny pogląd, że postęp technologiczny równa się ludzkiemu dobrostanowi.

Kiedy nadejdzie szczęście?

Spójtrzmy na argumenty Agara. „Technologia – wywodzi on – nabiera mocy w coraz szybszym tempie. Ta zawrotna prędkość sprawia, że wiele osób podchodzi do kwestii postępu technologicznego ze skrajnym optymizmem. Ich zdaniem galopujący rozwój technologii przyniesie nam niespotykane dotąd korzyści. Wyeliminuje ubóstwo, choroby i ludzką ignorancję; dostarczy niemal niewyczerpanych źródeł energii i poprawi jakość produkowanych przez nas dóbr. Będzie coraz lepiej – wyraźnie lepiej. Zwolennicy postępu nie są ślepi na problemy, jakie on ze sobą niesie. Spodziewają się jednak, że rosnące tempo rozwoju niebawem pozwoli nam znaleźć rozwiązania na owe bolączki. Przyszły rozwój posprząta bałagan, jakiego narobił rozwój teraźniejszy".

Ale czy na pewno? Taka wiara rodzi postawę, którą Agar nazywa „faworyzacją technologii", czyli stałą i często nieuzasadnioną preferencję wobec rozwiązywania problemów za pomocą technologii. Sprawia, że przeceniamy korzyści płynące z rozwoju technologii ślepotą na to, że wielu dręczących ludzkość problemów po prostu nie da się wyeliminować dzięki wynalazkom.

Technologii niech będą dzięki

Wśród elit, zwłaszcza naukowych, zainteresowanie technologią nierzadko daleko wykracza poza pogoń za lepszym życiem. Do wartości urasta już sam „rozwój nauki". Np. Zderzacz Hadronów pod Genewą zbudowano po to, by szukać odpowiedzi na najważniejsze pytania dotyczące pochodzenia i natury wszechświata. Poczynione za jego pomocą odkrycia znacznie poprawiły samopoczucie niektórych fizyków, ale błędem byłoby zakładać, że Zderzacz powstał z myślą o poprawie naszego zadowolenia z życia.

A przecież – ciągnie Agar – to ochrona i upowszechnianie dobrobytu należy do istotnych celów przyświecających rozwojowi technologii, czyli postępowi. Trudno zresztą wyobrazić sobie alternatywny cel, dążenie do którego usprawiedliwiałoby rezygnację z możliwości istotnej poprawy – to sformułowanie było użyte na początku – ludzkiego dobrostanu.

„Dobrostan" znakomicie nadaje się na motyw przewodni skrajnie optymistycznych teorii, gdyż jego zwolennicy agitują za przyspieszaniem tempa rozwoju, wierząc, że jest to najlepszy sposób na istotną poprawę ludzkiego bytu. Być może najlepszy w dotychczasowej historii. „Ja argumentuję, że prognozy łączące poprawę dobrostanu z tempem rozwoju technologii są mocno przesadzone" – pisze w odpowiedzi Agar, dając nam jasno do zrozumienia, że na postępie ludzkość może się nieźle przejechać.

Mariusz Grabowski



Nicholas Agar, „Sceptyczny optymista, czyli dlaczego technologia nie jest odpowiedzią na wszystko", PIW, Warszawa 2026, cena 49 zł

eprasa.pl 2cd4587c73

KOBIECA TWARZ ROKU. Zobacz liderki rankingu, które mają szanse na awans do castingu i finału, w którym czeka samochód!

Katarzyna Adamczyk
katarzyna.adamczyk@polskapress.pl

Mamy niecałe dwa tygodnie do końca głosowania w plebiscycie Kobieca Twarz Roku naszego województwa.

Czas upływa, a emocje rosną. Nic tu nie jest jeszcze rozstrzygnięte! Ranking liderek w trzech kategoriach plebiscytowych - Córki, Matki, Kobiety Dojrzałe - zmienia się dynamicznie. A to właśnie on zadecyduje, które panie wezmą udział w castingu podczas Forum Kobiecości i awansują do ogólnopolskiego finału, gdzie będą mieć szanse na zdobycie głównej nagrody - samochodu osobowego Citroen C3 Aircross Plus lub vouchera na wczasy o wartości 5000 zł. - Aby znaleźć się w tym rankingu trzeba mieć najwięcej głosów w swoim mieście lub powiecie - wyjaśnia Daria Jankiewicz-Kaczmarek, menadżerka akcji Kobieca Twarz Roku. Wszystkie laureatki z tego rankingu otrzymają zaproszenia na Forum Kobiecości. Te, które w rankingu zajmą miejsca od 1. do 10. wezmą udział w castingu i awansują do ogólnopolskiego finału, w którym główną nagrodą jest właśnie samochód osobowy Citroen C3 Aircross Plus. Podczas Forum Kobiecości jury spotka się z nimi, aby wybrać główne laureatki tytułu Kobieca Twarz Roku w naszym województwie w każdej kategorii pokoleniowej. Uczestniczki castingu otrzymają nagrodę - bransoletkę z limitowanej serii zaprojektowanej specjalnie dla laureatek naszej akcji. Awansują też do ogólnopolskiego finału akcji, w którym główną nagrodą będzie auto. Dodatkowo 5 pań w każdej kategorii pokoleniowej z największą liczbą głosów w skali województwa otrzyma zaproszenie na DAY SPA.
Aktualne wyniki głosowania można znaleźć na **polskanews.pl/kobiety**

CÓRKI


1. Luiza Drabik, Radom


2. Zuzanna Malicka, powiaty mławski, sierpecki i żuromiński


3. Anna Matracka, powiat grójecki


4. Paulina Zimmer, Warszawa


5. Wiktoria Makarow, powiat wołomiński


6. Zuzanna Młynska, powiat lipski


7. Agata Woźniak, powiat białobrzeski


8. Jolanta Krzywkowska, powiat przysuski


9. Klaudia Wólczyńska, powiat zwoleński


10. Julia Szymankiewicz, powiat gostyniński

MATKI


1. Edyta Wojcieszak, powiat szydłowiecki


2. Anna Janiszewska, Płock i powiat płocki


3. Elżbieta Lewandowska, powiaty ciechanowski i płoński


4. Zuzanna Nowakowska, powiat sokołowski


5. Agnieszka Molenda, Radom


6. Aneta Grabowska, powiat pruszkowski


7. Aleksandra Żelechowska, Warszawa


8. Patrycja Staniaszek, powiat sochaczewski


9. Grażyna Paczyńska, powiat grójecki


10. Wioleta Krześniak, powiat zwoleński

KOBIETY DOJRZAŁE


1. Iwona Wrzosek, powiat grójecki


2. Agnieszka Antczak, Warszawa


3. Paulina Brylska, powiat piaseczyński


4. Małgorzata Mirakowska, Radom


5. Zofia Osiadacz, powiat kozienicki


6. Justyna Woźna, powiat lipski


7. Monika Florczyk, powiat szydłowiecki


8. Jolanta Pieńkowska, powiat wyszkowski


9. Justyna Bordzio, powiat wołomiński


10. Elżbieta Zielińska, powiaty nowodworski i pułtuski

eprasa.pl 2cd4587c73

PRZYRODA RATUSZ CIĄGLE NIE WYPRACOWAŁ METODY RADZENIA SOBIE Z ROSNĄCĄ LICZBĄ DZIKÓW W MIEŚCIE

Odstrzał dzików to nie rozwiązanie? Zwierząt ciągle przybywa

Kamil Jabłczyński
Warszawa

Rośnie problem dzików w Warszawie. Prezydent Trzaskowski zapewnia, że miasto zapewnia bezpieczeństwo mieszkańcom, ale brakuje przekonania o kompleksowych rozwiązaniach.



FOT. REDAKCJA NASZEMIASTO.PL

Dziki chodzące spokojnie po Parku Dreszera na Mokotowie. To zdjęcie zostało nadesłane do nas przez naszego czytelnik

W ostatnim czasie pojawiły się informacje o pierwszych osobach zaatakowanych przez dziki w Warszawie i okolicach, o dzikach które urodziły się na terenie AWF, o kontrowersyjnym odstrzale na oczach mieszkańców w Wielkanoc czy o robocie, który przegonił dziki. Brzmi nieco surrealistycznie, ale to aktualnie w stolicy Polski codzienność. Populacja dzików stale rośnie.

Początkowo, jak zauważa prezydent Rafał Trzaskowski, był duży nacisk na odstrzał i ograniczanie ich populacji. Ale czy strzelanie to działanie skuteczne i coś więcej niż doraźne? Miejska radna z Miasto Jest Nasze, Marta Szczepańska, postrzega działania miasta jako znacznie niewystarczające. - Miasto nie widzi miejsca na alternatywne metody. Nie jest badana migracja tych zwierząt, temat rozmnażania. Tak, żeby mogły żyć, ale nie przenikały do osiedli mieszkaniowych. Zgłoszenia mieszkańców nie są analizowane pod kątem tego czy tylko dzik się pojawił, bo było tam pożywienie czy był też agresywny - mówi w rozmowie z nami Szczepańska.

Jak dodaje, miasto mogłoby (a może nawet powinno) nawiązać współpracę z naukowcami z SGGW czy UW, którzy badają temat dzikiej zwierzyny, pracują nad antykoncepcją dla nich i innymi rozwiązaniami.

Zapytałem prezydenta Trzaskowskiego, czy planuje utworzenie w ratuszu zespołu eksperckiego na ten temat np. z naukowcami, ekspertami i innymi instytucjami. Jego odpowiedź co najmniej mnie zaskoczyła. - Z całym szacunkiem, ale nie jesteśmy instytucją badawczą. Cały czas współpracujemy z ekspertami. To temat dotyczący przede wszystkim bezpieczeństwa. Ja rozumiem wzburzenie obrońców praw zwierząt, ale nie słyszałem żadnego alternatywnego dobrego rozwiązania, które by rozwiązało ten temat - mówił Trzaskowski.

Dodawał, że oczywiście odstrzał nie może odbywać się na oczach mieszkańców, ale był dopytywany o działania prowadzone w innych miastach, bardziej interdyscyplinarnie, też przez innych dziennikarzy. Prezydent sprawiał wrażenie zirytowanego, że padają na ten temat kolejne pytania, ale skala problemu po prostu narasta. Niech najlepszym dowodem będzie, że na konferencji o budowy hali Skry, padło tyle samo pytań o temat hali co w temacie dzików.

Gospodarz stolicy wyjaśnił, że będą działania w zakresie współpracy z administracjami, wspólnotami czy spółdzielniami w zakresie przetrzymywania śmieci. Na to zwraca również uwagę Szczepańska: - Niektórzy wręcz dokarmiają zwierzęta wyrzucając śmieci. I to nie trafia np. tylko do dzikich kotów czy psów, ale też szczurów czy dzików - tłumaczy. Trzaskowski dodaje, że będą miejskie wytyczne, żeby śmieci nie zostawały w otwartych przestrzeniach.

W środę odbyło też posiedzenie Komisji Ładu Przestrzennego i Ochrony Środowiska i jak mówi nam radna Miasto Jest Nasze: - Wniosek z wczorajszej komisji jest taki, że nic nie zmienią w polityce dzikowej. Raczej należy się spodziewać intensyfikacji działań redukcji populacji, co przynosi efekt - ale na chwilę. Raczej odsyłano nas z pomysłami do parlamentu. Jak dodaje Szczepańska, sam odstrzał nie załatwi sprawy, bo miasto nie bada jak populacja dzików się namnaża.

Wydział prasowy ratusza mówi nam, że dotychczasowe spotkania i wymiana korespondencji była prowadzona z ekspertami z Instytutu Badawczego Leśnictwa, SGGW czy też organizacji pozarządowych.

POLSKA METROPOLIA WARSZAWSKA

Redaktor naczelny **Arlena Sokalska**
Z-ca redaktora naczelnego **Agaton Koziński**
Prezes Makroregionu **Aureliusz Mikos**
Dyrektor centralnego biura reklamy **Witold Trzciński**
Dyrektor marketingu Polska Press **Rafał Piasecki**

Redakcja ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa
tel.: 22 201 42 00, faks: 22 201 42 01
e-mail: redakcja@polskatimes.pl
Druk Drukarnia ZPR Media S.A.,
04-190 Warszawa, ul Jubilerska 10

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca **Polska Press Sp. z o.o.**
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskapress.pl, tel. 12 688 85 10

©℗ - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenia?
przez internet
ibo.polskapress.pl

Nieruchomości

MIESZKANIA - SPRZEDAM

INNE

ŚWIĘTAJNY, k/Olecka 60,5m^2, parter, +budynek gospodarczy, z widokiem na jezioro, 100m do plaży, 509-113-599

MIESZKANIA - KUPIĘ

INNE

Kupię mieszkanie zadłużone, z trudnym lokatorem, komornikiem, udziały. Gotówka, 883-402-202

Praca

ZATRUDNIĘ

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Błonie tel. 668 085 925

SERWIS sprzątający z gr. niepełnosprawności Ożarów Mazowiecki tel. 668 085 925

Turystyka

KRAJ - GÓRY

Beskidy turnusy 60+ w maju od 1050 zł dostępny masaż leczniczy / dowóz, tel.: 501-642-492.

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok. z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie wczasy z wyżywieniem dla Seniorów. 601-585-510 www.danaustronie.pl

Różne

KASA za stare książki 609-643-399

Rolnicze

INNE

NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%, K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/tona, 500-669-621

AUTOREKLAMA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie zlecisz bez wychodzenia z domu przez Internetowe Biuro Ogłoszeń

ibo.polskapress.pl

AUTOREKLAMA

Polecamy →

strona podróży

Piąta strona świata

stronapodrozy.pl

eprasa.pl 2cd4587c73

Ostatnia droga Jacka Magiery. Żegnaj, Panie Trenerze

Bartosz Głąb
redakcja@polskapress.pl

W czwartek odbył się pogrzeb Jacka Magiery, ostatnio asystenta selekcjonera reprezentacji Polski, a wcześniej trenera między innymi Legii i Śląska, który zmarł nagle w piątek, 10 kwietnia.



FOT. PAP/LESZEK SZYMAŃSKI

W czwartek pożegaliśmy cenionego trenera Jacka Magierę - asystenta selekcjonera reprezentacji Polski

Na uroczystości pogrzebowej obecni byli prezydent RP Karol Nawrocki, minister sportu Jakub Rutnicki, prezes PZPN Cezary Kulesza oraz kapitan reprezentacji Polski Robert Lewandowski.

O godzinie 12:00 w Katedrze Polowej Wojska Polskiego w Warszawie odbyła się msza święta żałobna, w której oprócz selekcjonera Jana Urbana i byłych szkoleniowców drużyny narodowej oraz kierownictwa PZPN wzięli udział również przedstawiciele klubów ekstraklasy i 1. ligi, na czele z Dariuszem Mioduskim z Legii Warszawa, liczne grono byłych reprezentantów Polski, a także rzesze kibiców. Nie tylko z Warszawy, Częstochowy i Wrocławia - gdzie grał, a później pracował w charakterze szkoleniowca - ale także z wielu innych miast.

Po mszy świętej kondukt żałobny udał się na Cmentarz Wojskowy na Powązkach, gdzie o godzinie 14:30 odbyła się ceremonia pogrzebowa. Jacek Magiera spoczął obok innej wielkiej legendy stołecznej Legii i całego polskiego futbolu - Lucjana Brychczego.

Magiera piłkarską karierę rozpoczął z przytupem, od wygrania w 1993 roku z reprezentacją Polski mistrzostw Europy do lat 16. Po raz pierwszy w najwyższej polskiej lidze wystąpił w Rakowie Częstochowa, którego był wychowankiem, jednak największe znaczenie w jego karierze miała gra dla Legia Warszawa. Barwach stołecznego zespołu reprezentował przez wiele lat. Jako zawodnik był ceniony za taktyczną dyscyplinę, umiejętność czytania gry oraz zaangażowanie. Choć nie należał do piłkarzy z pierwszych stron gazet, pełnił ważną rolę w drużynie, będąc jednym z tych zawodników, którzy stabilizują grę zespołu. I budują szatnię.

Będąc piłkarzem klubu z Łazienkowskiej, dwukrotnie sięgnął po mistrzostwo Polski, w roku 2002 oraz 4 lata później. Ponadto w 1997 roku mógł cieszyć się z Pucharu Polski.

Po zakończeniu kariery piłkarskiej Magiera szybko skierował swoje kroki ku trenerce. Początkowo pracował w strukturach Legia Warszawa jako asystent, gdzie zdobywał cenne doświadczenie u boku bardziej doświadczonych szkoleniowców. Jednocześnie był również asystentem selekcjonera reprezentacji Polski do lat 18.

Przełomowym momentem było objęcie funkcji pierwszego trenera Legii w 2016 roku. W swoim debiutanckim sezonie odniósł znaczący sukces, zdobywając mistrzostwo Polski oraz prowadząc drużynę w rozgrywkach Liga Mistrzów.

Po zakończeniu pracy w Warszawie Magiera objął stanowisko selekcjonera reprezentacji Polski do lat 20. Prowadził kadrę podczas MŚ 2019, które odbywały się w Polsce. Choć drużyna nie osiągnęła spektakularnego wyniku, udział w turnieju i możliwość pracy z młodymi talentami były ważnym etapem w karierze.

Kolejnym istotnym rozdziałem Jacka Magiery była praca w Śląsk Wrocław. Pod jego wodzą zespół przeszedł zauważalną metamorfozę, poprawiając wyniki i styl gry. Dał się poznać jako trener, który potrafi rozwijać młodych zawodników, jednocześnie budując zespół oparty na solidnej organizacji i konsekwencji taktycznej. Wrocławianie w sezonie 2023/2024 sensacyjnie sięgnęli po wicemistrzostwo Polski, ustępując w walce o tytuł jedynie Jagiellonii Białystok.

Latem ubiegłego roku szkoleniowiec podjął kolejne wyzwanie, został asystentem selekcjonera Jana Urbana w seniorskiej reprezentacji Polski. Biało-Czerwoni nie zdołali awansować na MŚ 2026, ale poprawa stylu gry i atmosfery wokół kadry sprawiły, że prezes Kulesza postanowił kontynuować współpracę ze sztabem. Bo dostrzegł szansę także na progres wyników...

Nagła śmierć Jacka Magiery w piątek, 10 kwietnia wstrząsnęła całą - nie tylko piłkarską - Polską. Szkoleniowiec ceniony za warsztat i wysokie morale zasłabł w trakcie porannego treningu biegowego w Parku Grabiszyńskim we Wrocławiu. Został przewieziony do szpitala wojskowego, gdzie lekarze podjęli walkę o życie, którego niestety nie udało się uratować. Zmarł w wieku 49 lat. ©℗

Młody Polak kontra walijska legenda. Ruszamy po sławę i niezłe pieniądze

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

SNOOKER. **Znamy wyniki losowania 1. rundy mistrzostw świata w snookerze (pula nagród: 2 395 000 funtów), które rozpoczną się jutro w słynnym Crucible Theatre, w postindustrialnym Sheffield.**

W zawodach mamy - po raz pierwszy w historii - Polaka. To 22-letni Antoni Kowalski z Zielonej Góry. A rywalem naszego snookerzysty będzie legendarny Walijczyk - Mark J. Williams!

To nie tylko trzykrotny mistrz świata (2000, 2003 i 2018), zwycięzca 27 turniejów rankingowych oraz dwóch turniejów Masters (1998, 2003), ale i były numer 1 rankingu światowego (maj 2000-maj 2002, maj 2003-maj 2004 i maj-wrzesień 2011)!

Jest pierwszym leworęcznym graczem, który zdobył tytuł mistrza świata.

Williams jest również pierwszym zawodnikiem w historii, który zdobywał tytuły zawodowe w wieku nastolatka, 20-latka, 30-latka, 40-latka i 50-latka...

„The Welsh Potting Machine" zdobył serca miłośników snookera nie tylko imponującymi umiejętnościami, ale również charyzmą i niepowtarzalnym stylem gry. Jego „złoty dotyk" na stole snookerowym sprawia, że każda rozgrywka staje się widowiskiem, które na długo zapada w pamięć.

Jego grę cechuje duża szybkość, niesamowita celność uderzeń - zwłaszcza przy długich wbiciach - i spryt.

Częściowo jest... daltonistą i miewa trudności z rozróżnianiem czerwonych i brązowych bil. W trakcie całej kariery wygrał ponad 8 000 000 funtów w nagrodach finansowych... ©℗

Kasa wypłaci :
1. runda = 20 000 funtów
2. runda = 30 000 funtów
Ćwierćfinał = 50 000 funtów
Półfinał = 100 000 funtów
Finalista = 200 000 funtów
Zwycięzca = 500 000 funtów
Najwyższy break = 15 000 funtów



FOT. ČTK / IMAGO SPORTFOT. ODIENST/TAI CHENGZHE

Najwyższy break turniejowy Antoniego Kowalskiego to 141 punktów, ale treningowy to już 147 punktów, czyli maks...

W Lidze Mistrzów nie ma już Polaka. Barcelona i Real upokorzone

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

PIŁKA NOŻNA. **Mamy to. Paris Saint-Germain kontra Bayern Monachium i Atletico Madryt przeciwko Arsenal Londyn - oto pary półfinałowe piłkarskiej Ligi Mistrzów sezonu 2025/2026.**

Najpierw, na Anfield, FC Liverpool uległ Paris Saint-Germain 0:2, a na Estadio Metropolitano, Atletico Madryt przegrało z FCBarcelona 1:2. Dzień później Bayern Monachium pokonał u siebie Real Madryt 4:3, a Arsenal Londyn zremisował ze Sportingiem Lizbona 0:0 w rewanżowych spotkaniach ćwierćfinału piłkarskiej Ligi Mistrzów.

Do półfinału awansowały zatem zespoły PSG, Atletico, Bayernu i Arsenalu

Piłkarze z Madrytu już po raz szósty w tym sezonie mierzyli się z drużyną FC Barcelona. W La Liga „Duma Katalonii" odniosła dwa zwycięstwa (3:1, 2:1), ale przegrała dwumecz w półfinale Pucharu Króla (0:4, 3:0).

W meczu rewanżowym Champions League, Robert Lewandowski pojawił się na boisku w 68 minucie, gdy zmienił Ferrana Torresa. Niestety, nasz napastnik nie wyróżnił się niczym szczególnym...

W Monachium bohater pierwszego meczu - Manuel Neuer już w pierwszej minucie popełnił poważny błąd. Po jego zagraniu z pola karnego piłkę przejął Arda Guler, który skierował ją do pustej bramki gospodarzy.

Kibice Bayernu dobrze nie ochłonęli na Allianz Arenie, a kolejna pomyłka bramkarza wpłynęła na zmianę wyniku. Tym razem Andrij Łunin wykazał brak zdecydowania przy rzucie rożnym, co strzałem głową wykorzystał Aleksandar Pavlović.

Nie był to koniec popisów Gulera, który tuż przed upływem drugiego kwadransa z rzutu wolnego mierzonym uderzeniem po raz drugi pokonał Neuera. W końcowych minutach połowy do remisu doprowadził Harry Kane, który kompletnie zmylił Łunina. W odpowiedzi kontra Realu, którą wykończył Kylian Mbappe, ponownie doprowadziła do prowadzenia „Królewskich", a zarazem wyrównania stanu rywalizacji w dwumeczu.

Po zmianie stron doskonałych okazji strzeleckich nie brakowało, ale telebim boiskowy długo niezmiennie wskazywał prowadzenie gości. Trybuny mocno się ożywiły, gdy pomocnik Realu - Eduardo Camavinga ukarany został drugą żółtą i w efekcie czerwoną kartką (86.).

Po chwili lukę w defensywie rywali wykorzystał Luiz Diaz, który zza pola karnego pokonał bramkarza. Awans Bawarczyków przypieczętował Michael Olise po świetnej asyście Harry Kane'a. ©℗

Ćwierćfinały Ligi Mistrzów
FC Liverpool - *Paris Saint-Germain 0:2 i pierwszy mecz 0:2
*Atletico Madryt - FC Barcelona 1:2 i pierwszy mecz 2:0
*Bayern Monachium - Real Madryt 4:3 i pierwszy mecz 2:1
*Arsenal Londyn - Sporting Lizbona 0:0 i pierwszy mecz 1:0

Półfinały (28-29 kwietnia i 5-6 maja)
Paris Saint-Germain - Bayern Monachium
Atletico Madryt - Arsenal

Finał (30 maja, Budapeszt)

eprasa.pl 2cd4587c73

AUTOPROMOCJA 0210987243

POLSKA
METROPOLIA WARSZAWSKA

w prenumeracie
z Tele Magazynem

12 312 53 88



dawny górnik / polski western z 1968 roku / podróżna torba
imię Ostrowskiej, aktorki
dawny dostawca wojskowy
serbski oddział wojska
kuzyn bielaka
antonim hossy / zatyczka antałka
broń straży pałacowej
awantura, krzyk
podcienie budynku
mistrz duchowy / filtrują krew
płynie przez Gandawę
na głowie panny młodej
samuraj bez pana / rzymski strój
porcja surowca do martena
kryształ do tamowania krwi
lekka tkanina
przedporcie / kapelusz Chaplina
świąteczny dzień w judaizmie
rzymska Selene
damka z ramą / szara w sadzie
ryba morska podeszwica
rzeka w Azji / odmiana bajki
imię Teligi, żeglarza
artystyczny gobelin
tango Grechuty
grecka litera
film Andrzeja Wajdy
dawny żaglowiec
dochód rodziny królewskiej
bystry w potoku
duma pawia i wiewiórki
ogół świeckich w kościele
imię kobiece z Anina
indiański namiot
pracownica wywiadu
był zakochany w Balladynie
w portfelu Fina
informatyczne etykiety
serialowa królowa
brytyjska wyspa
imię Kuleszy / mierzy opór
góry na granicy Europy i Azji
rozbijany na biwaku
dawny środek do narkozy
metropolia Ghany
panieńska roślina / skwar
krótki miecz / bonifikata
sprawiedliwy tłuszcz
płaksa, mazgaj
bierki lub warcaby / wdzięk
plac z kramami
śpiewak w synagodze
skurcz mięśni twarzy / smar
... czarny to hajstra
yerba ... z Paragwaju
defiladowy lub miłowy
sklep o dużej powierzchni
znak ręką
mączka z pnia palmy
żydowski placek
młoda dziewczyna
naczynie na kapuśniaczek
jednostka masy
turecka łódka
kuchenny obrus
dostojna kobieta
wezwanie do działania
stolica nad Tybrem
szlachetny helowiec
silne krwawienie
Pucka lub Gdańska
słowa piosenki
lew górski
rozdział Koranu
rasa owiec o cennym runie
śledzi ruch samolotów
pustynia wyżynna w Izraelu
brat ojca
Indianin z Ameryki Północnej
składnik powietrza
czynny wulkan w Europie
lipcowa solenizantka
narzekanie, biadolenie
architekt wnętrz
odmiana kapusty ogrodowej
mąż Sawy / okres mezozoiku / chmary owadów
codzienne prace w gospodarstwie
utwór Boccaccia
sprzęt filmowca
pieszczoty sarmaty / rosyjski placek weselny
stopień czcionki, mignon
drapieżnik z tajgi
np. Amazonka / ryżowy trunek
klasowy demon
Indianin z Gujany
starszy zwany cenzorem
szef uniwersytetu
do mieszania koktajli
rodzaj lasu liściastego
korab / wioślarska ósemka
naśladuje głosy innych ptaków
następca w rodzinie
Pięcioksiąg Mojżesza
przyjaciółka Gucia
lodowa / polska telenowela
kirgiskie miasto / zespół rockowy
przecier owocowy
wytyczona droga
ziemia uprawna
rodzaj flaneli
piłkarze z Salonik
ostra choroba zakaźna
japoński utwór poetycki
płynny miód naturalny
morski skorupiak
zgorzel wargi i policzka
beta lub omega
silnikowy lub roślinny
deszcz lub grad
szeroki futrzany szal
zgrana paczka / chiński werniks
kryjówka lisicy
pętla przy siodle gaucho
indiańska trucizna

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26

Litery z pól ponumerowanych od 1 do 26 utworzą rozwiązanie – myśl Andrzeja Majewskiego.

SŁOWNIK: ARIS, ATAPASK, KAIK, KARAIB, LIWERANT, NEGEW, OSZ, UTA.

ROZWIĄZANIE: SZKOŁA UCZY, ŻYCIE DAJE NAUCZKI.

eprasa.pl 2cd4587c73